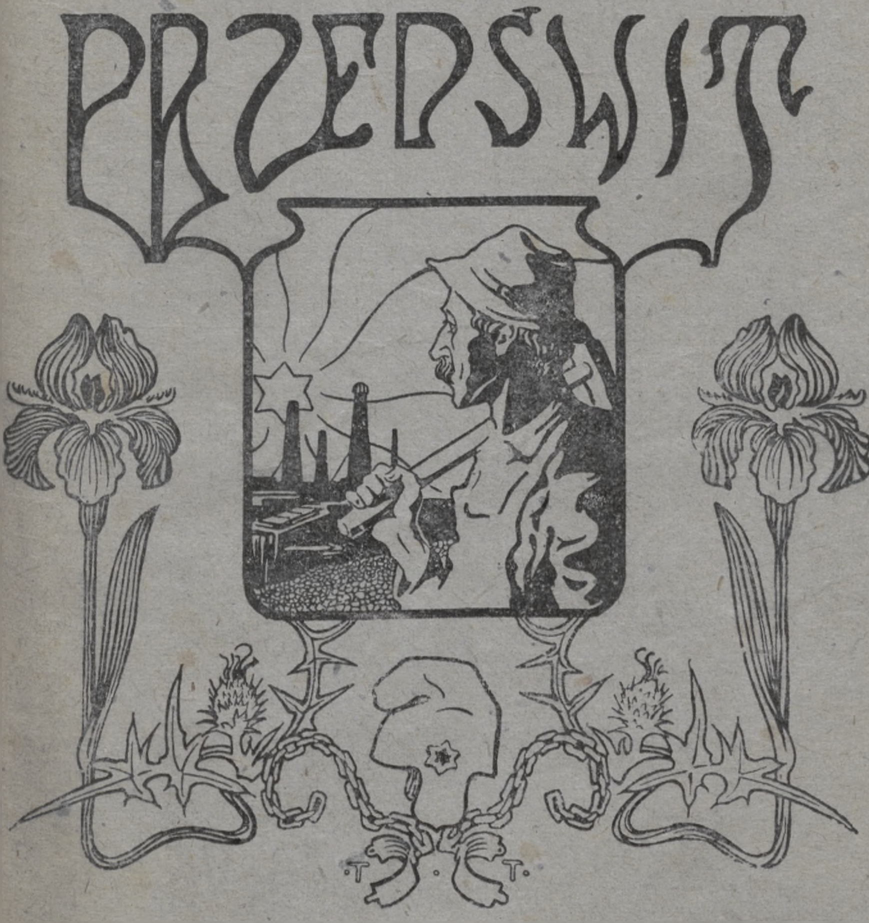
Nr. 10. Październik 1903 Rok XXIII.

PRZEDŚWIT



MIESIĘCZNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

ORGAN POLSKIEJ PARTYI SOCYALISTYCZNEJ

KRAKÓW

Z DRUKARNI WŁADYSŁAWA TEODORCZUKA I SKI.

Warunki prenumeraty:

Rocznie: 5 fr. – 4 sh. – 4 m. – 2 złr. 40 ct. (w kopercie 4 złr.) – 1 dol. – 10 milreisów.

Nr. pojedyńczy 45 centim. – 4 d. – 35 fen. – 20 ct. austr. – 10 ct. amer. – 900 reisów.

ADRES REDAKCYI i ADMINISTRACYI PRZEDŚWITU

OD 1 LIPCA ZMIENIONY.

Kraków
ul. Pędzichów l. 15
I. Piętro (w oficynie).

Nr. 10. Październik 1903 Rok XXIII.

PRZEDŚWIT

Nasze sprawy w Dreznie.

Jak czytelnikom naszym wiadomo, przeszłoroczny zjazd socyalnej demokracyi niemieckiej w Monachium polecił zarządowi tejże partyi „raz jeszcze zrobić próbę porozumienia się“ z P. P. S. zaboru pruskiego. Przedświt w N-rze 5 b. r. podał obszerną historyę układów, które toczyły się wskutek powyższej uchwały i nie doprowadziły do zgody. Zarząd partyi niemieckiej pomieścił w swem sprawozdaniu rocznem na kongres drezdeński o tych układach tylko następujący, nader lakoniczny ustęp:

„Polecenie osiągnięcia porozumienia i zjednoczenia między partyą niemiecką a organizacyą polsko-niemieckiej socyaldemokracyi *), dane przez kongres monachijski, wykonał zarząd natychmiast po zjeździe, rozpoczynając odpowiednie układy. W tym celu odbyły się dwie konferencye: pierwsza 19 października r. z., druga 19 stycznia r. b. Wynik był negatywny,

Organizacya polsko-niemieckiej socyaldemokracyi pozostaje po za granicami socyaldemokracyi niemieckiej. Nie mamy z nią innych stosunków, prócz wynikających z międzynarodowej wspólności interesów.

Jednakowoż układy wydały owoc praktyczny pod tym względem, że pod ich wpływem towarzysze z obydwóch organizacyj w Poznańskiem i na Śląsku Górnym zgodzili się na kandydatów, mających być postawionymi w obydwóch tych okręgach, i porozumieli co do udziału w kosztach wyborczych.

Chociaż zatem zjednoczenie obydwóch organizacyj nie zostało osiągnięte, to przecież usunięty został przedmiot sporu, który był dla zjazdu monachijskiego pobudką do udzielenia zarządowi polecenia, dotyczącego próby zjednoczenia“.

---

*) Co za szczególne omówienie zamiast: „Polskiej Partyi Socyalistycznej“! Ale mniejsza o to.

Wkrótce po ogłoszeniu sprawozdania z powyższym ustępem ukazał się „List otwarty P. P. S. do socyaldemokracyi niemieckiej“ *), z datą 1 września 1903 r. Zarząd P. P. S., który list ten podpisał, zaznacza, że nasi przeciwnicy, którzy będą na kongresie drezdeńskim, z pewnością gorliwie będą się starali przypisać P. P. S. całą winę za niedojście do skutku ugody i przedstawić nas, jako niepoprawnych warchołów i wrogów partyi; dlatego konieczne jest przedstawienie kongresowi całej historyi układów, aby zapobiedz oszukiwaniu nieuprzedzonego ogółu partyi niemieckiej, z „którą zawsze, pomimo wszystkiego, żyć i działać chcemy w braterskiem porozumieniu“. Historyę tę, znaną naszym czytelnikom, opowiada zarząd P. P. S. szczegółowo, popierając twierdzenia swe na każdym kroku licznymi dokumentami, protokołami konferencyj, uchwałami zjazdu P. P. S., listami obydwóch zarządów. Przytoczymy podane na końcu streszczenie i charakterystykę całego biegu układów:

„Zarząd partyi niemieckiej postawił nam od początku ciężkie warunki zjednoczenia: wyrzeczenie się wszelkiej rękojmi i zewnętrznego zamanifestowania naszego specyalnego stanowiska, jako samodzielnej organizacyi, przyjęcie w Bytomiu kandydatury d-ra Wintera, który od szeregu lat napadał na naszą partyę. Ponieważ jednak we względzie kandydatur przyjęty został na przyszłość przez zarząd niemiecki nasz ogólny, coprawda bardzo skromny, wniosek, żeby kandydaci w okręgach z przeważającą ludnością polską musieli umieć po polsku, i ponieważ ze strony zarządu niemieckiego nie zaszło nic, coby mogło zagrażać naszemu stanowisku zasadniczemu, naszej walce o wolność narodową, przeto w imię zasady organizacyjnej, w imię zgody, zdecydowaliśmy się przyjąć postawione przez zarząd niemiecki warunki i przeprowadzić zjednoczenie. Zjazd nasz uchwalił też to d. 26 grudnia. Lecz zarząd niemiecki uległ złośliwym wpływom naszych przeciwników. Nie zważając na umowę, która już była zawarta, postawił warunki nowe, a mianowicie cofnął swą, poprzednio wyraźnie daną, zgodę na kandydatów umiejących po polsku dla polskich okręgów, oraz zażądał podpisania tajnego protokołu dodatkowego, w którym mieliśmy wyrzec się niepodległości naszego narodu. W całkiem niesłychany sposób ogłoszono narodowe wyzwolenie polskiego ludu za niezgodne z programem socyaldemokracyi niemieckiej. Prócz tego, przed zakończeniem ukła-

*) Offener Brief der Polnischen sozialistischen Partei (P. P. S.) Deutschlands an die Deutsche Socialdemokratie. 1903. Verlag von Nicolaus Kraszewski. Britz – Berlin (24 stronnice).

dów zaczęto, wbrew uchwale kongresu w Monachium, dawać subwencyę wrogiemu nam organowi (Gazecie Ludowej).

Nowe warunki wprost popychały nas do zerwania, prowokowały. My poprzestaliśmy na spokojnem ich odrzuceniu. Tak skończyło się zjednoczenie, dokonane już d. 26 grudnia.

Delegaci na kongres i ogół towarzyszy znają teraz prawdę, mogą osądzić: kto winien rozchwianiu się zjednoczenia, czy zarząd niemiecki postępował w całej sprawie pojednawczo, czy też — jako silniejszy, który słabszemu — to prawda, znacznie słabszemu — chce dyktować warunki bez względu na tegoż potrzeby i prawa".

Przytaczamy jeszcze z prawdziwem uznaniem ustęp z „Listu otwartego", oceniający sławny tajny protokół, zaproponowany przez zarząd niemiecki:

„A więc — tajny układ uboczny podług wszelkich prawideł. Do tego posunął się zarząd partyi niemieckiej. Ciekawi jesteśmy, jak wobec tego przedstawiał on sobie zatwierdzenie umowy z P. P. S. przez kongres partyi niemieckiej. Czy ten tajny protokół dodatkowy miał być zatajony i przed kongresem niemieckim? I jak można było przypuszczać, że my, którzy byliśmy i jesteśmy związani uchwałami naszego zjazdu, zataimy go przed naszym zjazdem? Tajne układy uboczne były dotychczas obyczajem dyplomatów zbójeckich państw, którzy nie śmią konszachtów swych pokazać w świetle dziennem. Wolno było mniemać, że sprzeciwiają się one etyce proletaryackiej. Ta próba, jedyna dotychczas, jak sądzimy, w historyi socyalizmu, doprawdy zasługuje na uwagę kongresu. Szczególnie ze względu na cel jej: protokół miał wszakże być zachowany, jako środek — powiedzmy: — nacisku, jako nieustanna groźba przeciw nam. Nam oszczędzano łaskawie hańby publicznego wyparcia się naszych dotychczasowych zasad, lecz wyprzeć się ich mieliśmy. Zarząd niemiecki nie miał odwagi wystąpić niedwuznacznie i publicznie przeciw niepodległości naszego narodu, lecz miał dopiąć usunięcia tego ideału z agitacyi. Doprawdy, doradcy, którzy wymyślili ten sposób, byli „dobrymi" dyplomatami! Co do nas, to w propozycyi podpisania podobnego tajnego układu mogliśmy upatrywać jedynie obrazę. Nie podpisalibyśmy go nigdy; na razie pozostawiliśmy go na stronie"...

„List otwarty" zawiera też cały osobny rozdział p. t.: „Program socyalnej demokracyi niemieckiej a niepodległość Polski". Zarząd P. P. S. stwierdza kilkakrotnie, że zarząd niemiecki nigdy w toku układów nie żądał wyrzeczenia sią punktu

niepodległości Polski w programie; przeciwnie, gdy na konferencyi 19 października pani Luksemburg wystąpiła z takiem żądaniem, tow. Daszyński wyraźnie oświadczył, że P. P. S. nigdy się na to nie zgodzi, i tow. Bebel odrzucił wniosek p. L. „Program erfurcki — pisał zarząd niemiecki w swym okólniku, ogłoszonym w Volkswacht 12./I. 1903, lecz naszemu zarządowi nigdy oficyalnie nie zakomunikowanym — nic nie wie o niepodległem państwie polskiem". Zapewne — odpowiada zarząd P. P. S. w „Liście otwartym":

„Jest to zupełnie naturalne; wszak program ten układany był dla socyalistów niemieckich, nie zaś dla polskich, odnosi się do państwa niemieckiego i wogóle nie zajmuje się zagadnieniami polityki międzynarodowej. Przytem jednak program ten posiada duch ogólny, rewolucyjny, wrogi całemu dzisiejszemu ustrojowi społecznemu i państwowemu, który się wyraża w następującym ustępie: „Socyalno-demokratyczna partya niemiecka walczy nie o nowe przywileje klasowe, lecz o zniesienie panowania klasowego i klas samych i o jednakowe prawa i obowiązki dla wszystkich bez różnicy płci ani pochodzenia. Z tego stanowiska zwalcza ona w społeczeństwie dzisiejszem nietylko wyzysk i ucisk robotników najemnych, ale wszelki rodzaj ucisku i wyzysku, dotykający jakąś klasę, partyę, płeć lub rasę". Czyż więc ucisk podbitego narodu, jak naród polski, przez państwo zaborcze, jakiem są Prusy, nie jest jednym z najgorszych gatunków ucisku? Jednakowe prawa dla każdego: czyż nie znaczy to, że Polacy mają takie same prawo do niepodległości narodowej i państwowej, jak Niemcy?"...

Jak zaznaczono na wstępie, P. P. S. zaboru pruskiego odrazu przy założeniu swojem, w r. 1893, uznała program erfurcki za swój, dodając tylko oczywiste żądanie języka rodzimego w szkołach. Lecz organizacya nasza miała prawo zastosować ogólne rewolucyjne zasady programu erfurckiego do położenia politycznego ludu polskiego i pojmować je tak, jak jedynie może je pojmować każdy uczciwy socyaldemokrata, a mianowicie, że wynika z nich żądanie zupełnej wolności i demokracyi również dla polskiego narodu, czyli dążenie do tegoż zupełnej niepodległości i wolności."

Zaznacza następnie nasz artykuł, że P. P. S., jako partya socyalno-demokratyczna, sobie za cel nie stawia polskiego państwa klasowego, tylko Polskę socyalistyczną; gdyby jednak jakiekolwiekbądź wypadki przyniosły niepodległą rzeczpospolitą polską, nie socyalistyczną jeszcze, lecz wysoce demokratyczną, tobyśmy z punktu widzenia interesów proletaryatu oczywiście cieszyli się z tego. „List otwarty" przypomina liczne

oświadczenia najwybitniejszych mężów socyalnej demokracyi niemieckiej: Marxa, Engelsa, Kautsky'ego, Liebknechta, Bebla, za niepodległością Polski, i stąd wyprowadza wniosek, że P. P. S., przyłączając się do organizacyi państwowej, miała prawo uważać dążenie do niepodległości Polski za zgodne z programem erfurckim. „Gdyby zjazd nasz był innego zdania, to z pewnością nigdy nie zgodziłby się na i tak ciężkie waranki zjednoczenia!“

Na zakończenie oświadcza zarząd P. P. S., że nie wyrzeka się myśli wspólnej pracy i walki z niemiecką socyalną demokracyą, że nawet gotów jest i nadal zjednoczyć się z nią, ale tylko na warunkach, uchwalonych przez VII zjazd P. P. S. d. 26 grudnia 1902 r., oraz daje wyraz przekonaniu, że kwestya zjednoczenia musi być załatwiona prędzej czy później, i że może być załatwiona jedynie w duchu sprawiedliwości międzynarodowej.

„List otwarty“ rozdany został delegatom w Dreznie, rozesłany pismom partyjnym niemieckim i zagranicznym, zakomunikowany też międzynarodowemu sekretaryatowi w Brukseli.

* * *

Z powodu wydania „Listu otwartego“ przewodniczący tow. Singer w imieniu zarządu partyi zaproponował zjazdowi poświęcić „kwestyi polskiej“ osobny punkt porządku dziennego. Dyskusya nad nim toczyła się przy końcu popołudniowego posiedzenia, we środę 16 września. Pierwszy przemawiał, jako referent zarządu,

tow. **Gerisch:**

„Układy doprowadziły do wyniku negatywnego; stosunek nasz do polskiej partyi bratniej jest taki sam, jak do innych bratnich partyj.“ Mówca, szkicując historyę układów, zaznacza, że na punkcie prasy osiągnięto porozumienie na pierwszej konferencyi; na punkcie organizacyi Polacy stawiali żądania, których nie można było wykonać bez zmiany statutu partyjnego; „do tego zaś nie mamy prawa; nie możemy polskim towarzyszom przyznać innych praw, jak innym organizacyom krajowym *) w Niemczech“. Najtrudniejsza była sprawa kandydatur. Na usunięcie Wintera zarząd nie mógł się zgodzić, bo nie chciał wkraczać w prawa organizacyi okręgowej. Dalej mówi G. o protokole konferencyi 19 października, zredagowanym przez zarząd niemiecki i przesłanym zarządowi polskiemu z zapytaniem, czy gotów jest do ustępstw. Na punkcie żądania polskiego co do kandydatów w polskich okręgach

*) Landesorganisation: organizacye bawarska, saska i t. d., ściśle podporządkowane ogólno-państwowej.

zaszła w protokole tym, jak twierdzi, omyłka. „Nie mieliśmy zamiaru przyjąć wniosek polski w całości, jak to powiedziano w protokole, byliśmy tylko gotowi spełnić żądanie towarzyszy polskich, żeby w okręgach z mieszaną ludnością byli stawiani, o ile to będzie w jakiś sposób możliwe (wenn irgend möglich), kandydaci mówiący obydwoma językami, lecz nie chcieliśmy pod tym względem żadnego przymusu i przedewszystkiem nie chcieliśmy brać za zasadę ostatniego spisu ludności, tylko pozostawić wolną rękę towarzyszom zorganizowanym.“ Polski zarząd i zjazd przyjęły ugodę podług protokołu, który zawierał tę omyłkę. „My powiedzieliśmy sobie: niema zgody, takiego ustępstwa nie zrobiliśmy, nie możemy i nie wolno nam go zrobić; tu zaszła omyłka“. Dalej przyszli nasi towarzysze ze Śląska Górnego i powiedzieli: choć towarzysze polscy oświadczają, że mają program erfurcki, ale mają dawne uchwały, dla nich obowiązujące, co do odbudowania państwa polskiego, które nic nie mają wspólnego z programem erfurckim, tylko z rzeczami, nic nas socyalnych demokratów nie obchodzącemi. „Aby tych towarzyszy uspokoić, posłałem z polecenia zarządu okólnik do komisyj agitacyjnych we Wrocławiu, Poznaniu i na Górnym Śląsku. Błędem jest nazywać ten okólnik oświadczeniem zarządu partyjnego, nie był on przeznaczony do ogłoszenia *), tylko dla informacyi naszych towarzyszy w owych okręgach. W okólniku tym, który został zatwierdzony przez zarząd od pierwszego do ostatniego słowa, mówiłem naszym towarzyszom: czegóż się niepokoicie? jeśli polscy towarzysze uznają nasz program, to nie mogą mieć programu ubocznego (głos: Bardzo słusznie!). To byłoby nielojalnie. Dawne uchwały wtedy upadają. A tyle zaufania muszą mieć nawzajem strony zawierające umowę. Jeśli towarzysze polscy chcieliby nas rzeczywiście wyprowadzić w pole, to wyszłoby to prędko na jaw, i rzecz z nimi byłaby skończona“. Tow. G. powtarza zapewnienia, że powyższe stanowisko zarządu niemieckiego

*) Co nie przeszkodziło „Breslauer Volkswacht“ najspokojniej go wydrukować; zarząd niemiecki nie zganił jej za to ani jednem słowem. Redakcya tego pisma nie popełniła zatem wprawdzie fałszerstwa dokumentu, ale nadała mu zupełnie inny charakter i popełniła nadużycie zaufania. Wobec tego trudno zmienić sąd o jej wartości etycznej, zawarty w oświadczeniu P. P. S. z d. 15/VIII. Tow. Gerisch sam stwierdza w swej mowie, że okólnik został zakomunikowany tylko trzem niemieckim komisyom agitacyjnym, a więc — wbrew wszelkim insynuacyom — nie P. P. S. Przeciwnie, w liście do zarządu P. P. S. z d. 23 grudnia, w którym tow. G. w imieniu zarządu niemieckiego żądał od zjazdu P. P. S. przyjęcia wniosków niemieckich bez zmian i zaznaczał, że zarząd niemiecki stoi niezmiennie przy swych wnioskach wraz z przyjętemi poprawkami (ob. „Off. Brief.“ str. 12), niema ani słówka o tym tak ważnym okólniku, stanowiącym interpretacyę układu, a datującym przecie z 9 grudnia. Zarząd niemiecki miał obowiązek zawiadomić właśnie P. P. S. o tym okólniku!

było dobrze znane zarządowi polskiemu. „Jednakowoż ostrzeżenia towarzyszy górnośląskich i poznańskich nie przeszły bez wrażenia na nas. Zaufanie ładna to rzecz; ale przecież lepszy układ na piśmie“. Więc „tylko dla ostrożności zredagowany został jeszcze protokół dodatkowy. Mogę przyznać, że rzecz ta wygląda podejrzanie (Bardzo słusznie! – głos z grona słuchaczy), ale wygląda ona gorzej, niż jest... Nie mieliśmy innego wyjścia.“ Czyny niemieckich organizacyj krajowych mogą być łatwo przez nas wszystkich kontrolowane i omawiane na zjazdach. Jak to Bebel zmył głowę Badeńczykom! Względem Polaków to jest niemożliwe; nie możemy ich kontrolować, bo nie znamy języka; a po tem, co dotychczas zaszło właśnie w polskiej agitacyi, trzeba się mieć jaknajbardziej na baczności. Mamyż ponosić ofiary na te rzeczy, o których nic nie wiemy, którym nie możemy przeszkodzić? Wielka jest nasza odpowiedzialność: „trudno mi przedstawić sobie, żeby rząd miał specyalną ochotę wytaczać procesy polskiej organizacyi (?!); lecz całkiem inaczej rzecz stoi, jeśli w sprawę można wplątać niemiecką socyalną demokracyę“(?). Przyznajemy Polakom prawo działania w granicach uchwały kongresu londyńskiego; bronimy ich od ucisku narodowego, ale „inna rzecz, jeśli obok tego zjawiają się dążenia, które nietylko nic nie mają wspólnego z ruchem robotniczym, lecz mogą mu szkodzić.“ Postępowaliśmy lojalnie. I my możemy mieć pretensyę do Polaków. Całe układy byłyby zbyteczne, gdyby nam byli odrazu powiedzieli, że na pierwszym planie stoi u nich uczucie narodowe. Ale właśnie co do tego chcieli nas zwieść“ (oklaski).

Tow. **Hänisch** z Dortmundu

zaznacza, że na tym kongresie niema usposobienia do obszernych rozpraw o sprawie polskiej. To też zrobię, mówi, tylko kilka uwag, które jednak wypowiedzieć muszę, jako przedstawiciel okręgu nadreńsko-westfalskiego, gdzie mamy liczną polską ludność robotniczą, z którą chcemy żyć w dobrej zgodzie. Fakty, opowiedziane w liście otwartym partyi polskiej, zrobiły na mnie bardzo przykre wrażenie (bardzo słusznie!). Z tonu listu tego widać, że Polacy wszystko zrobili, aby osiągnąć zgodę; list trzymany jest w tonie bardzo sympatycznym. (Protesty). Najprzykrzejszy jest dla mnie protokół tajny, o którym już Gerisch wspominał; wygląda to, jak gdyby nasz zarząd nauczył się czegoś od dyplomatów burżuazyjnych. Żąda się tam, żeby polski zarząd partyjny oświadczył, że nie istnieje żaden program osobny. To nie jest potrzebne, ponieważ to, co ma stać w owym osobnym programie polskim, zawiera się już przecie w programie erfurckim. Pozostaje tylko pytanie, czy polscy socyalni demokraci prowadzą

propagandę szowinistyczną, niezgodną z naszemi zasadami. Jedni twierdzą tak, drudzy temu zaprzeczają. Niestety, większość między nami nie rozumie po polsku, musimy poprzestawać na tłomaczeniach z prasy polskiej. Sądząc z tego, co mi dostarczył dr. Gumplowicz, „Gazeta Robotnicza“ potępia szowinizm jaknajbardziej stanowczo. Ja i dziś jeszcze stoję co do kwestyi polskiej na stanowisku Marksa i Engelsa, któremu i Liebknecht dał wyraz na kongresie w Hamburgu, wywołując burzę oklasków słowami: „Nie powinniśmy pozostawić naszym polskim towarzyszom najmniejszej wątpliwości co do tego, że dążenia Polaków do niepodległości uważamy za równie usprawiedliwione, jak każdego innego narodu.“ (Oklaski).

Tow. **Szymon Katzenstein,**

znany publicysta: Towarzysze! Nie chcę zajmować się wewnętrznemi sprawami naszych polskich towarzyszy. Chcę tylko wskazać kilka punktów, w których podług mego przekonania nasz zarząd postąpił nie podług zasad partyi naszej. W tajnym protokole stawia się polskim towarzyszom żądanie wyrzeczenia się odbudowania narodowego państwa polskiego. Nasz program głosi zasadę równouprawnienia wszystkich ludzi i samorządu ludu w całem państwie, pojedyńczych krajach, prowincyach i gminach. To zawiera oczywiście i prawo samodzielności narodowej; wbrew zaś tej zasadzie działał nasz zarząd. Tajny protokół odsyła polskich towarzyszy do rezolucyi o prawie autonomii wszystkich narodów, przyjętej przez kongres międzynarodowy w r. 1896. Otóż rezolucya ta głosi: „Kongres oświadcza się za pełnem prawem wszystkich narodów do stanowienia o samych sobie i wyraża swą sympatyę robotnikom każdego kraju, który obecnie cierpi pod jarzmem despotyzmu militarnego, narodowego czy innego“. Jakaż więc zachodzi różnica między tem „oświadczeniem się za“, a „żądaniem“ państwa narodowego, które ma być zakazane Polakom? Któż mógłby żądać np. od naszych towarzyszy ormiańskich, żeby uznali po wszystkie czasy despotyzm turecki albo carski? (Oklaski). A przecie, pominąwszy szczegóły, pruski despotyzm w Polsce, hańbiący imię niemieckie, nie jest w gruncie rzeczy wcale lepszy. Przecież nie stoimy na gruncie kongresu wiedeńskiego. Tak samo, jak przyznajemy organizacyom krajowym zupełną samodzielność w sprawach danego kraju, tak samo powinniśmy uznać dążenia narodowości do samodzielności. Za to całość partyi nie jest wcale odpowiedzialna. Wystarczy, jeśli doradzać będziemy Polakom niezbędne umiarkowanie i ostrożność. Drugi punkt dotyczy żądania Polaków, na które najpierw dano zgodę, a potem ją cofnięto, żeby w okręgach przeważnie polskich kandydaci o ile możności znali

język polski. Człowiek za głowę się chwyta, że czegoś podobnego trzeba dopiero żądać! Nasi kandydaci muszą przecie być mężami zaufania robotników, i słusznie ich się gani, jeśli nie pozostają w stosunkach ze swymi wyborcami. Lecz jakże to będzie możliwe, jeśli będą musieli posługiwać się tłomaczami? Że Polacy bardziej na pierwszy plan wysuwają swe żądania narodowe, to przecie my, którzy nie cierpimy ucisku narodowego, powinniśmy zrozumieć. Idzie tu tylko o kwestyę sprawiedliwości, która zarazem w szkole, koszarach, sądzie jest ważną kwestyą materyalną. Od Polaków dowiedziałem się, że postępowanie naszego zarządu utrudniło naszym towarzyszom agitacyę na Śląsku Górnym i że stawia ich ono wszędzie w trudnem położeniu wobec szowinistyczno-demokratycznej partyi wyzyskiwaczy drobnomieszczańskich. Możemy mieć zupełne zaufanie do zarządu pod względem wierności zasadom. Dlatego spodziewam się, że i w tej sprawie liczyć on się będzie w przyszłości z zasadami partyi i sprawiedliwości (Oklaski).

Tow. **Jerzy Ledebour,**

poseł do parlamentu z VI okręgu berlińskiego: „Najzupełniej zgadzam się z dwoma mówcami poprzednimi i chcę tylko uzupełnić ich wywody kilkoma ważnymi faktami. Skąd się wzięło u naszego zarządu żądanie wyrzeczenia się zupełnego wszelkiej państwowej niepodległości Polski? Z początku zarząd wcale go nie postawił; ale oprócz P. P. S. zaprosił on też grupę Róży Luxemburg, i ta postawiła takie żądanie, które, gdyby zostało przyjęte, byłoby policzkiem dla socyalistów polskich na całym świecie (Bardzo słusznie!). Zarząd ulega w taki sposób wpływowi tow. Luxemburg, ponieważ sam nie zna dostatecznie stosunków, aby wyrobić sobie sąd własny. Woła się więc tow. Luxemburg, albo przychodzi ona i sama, i podług informacyi tej zdecydowanej nieprzyjaciółki polskiej organizacyi zarząd przedsiębierze kroki, mające prowadzić do zjednoczenia z tą organizacyą. Jestem mocno przekonany, że winę za rozchwianie się zjednoczenia należy przypisać jedynie tow. Luxemburg. Coprawda, zarząd przynajmniej złagodził żądanie tow. Lux., pisząc zamiast: „Niepodległość państwa polskiego“ — „Odbudowanie Polski“, co można tak tłomaczyć, jakgdyby odrzucano tylko odbudowanie byłego Królestwa Polskiego, które było także państwem opartem na przemocy najgorszego gatunku. Ale tow. Luxemburg zachowuje się tak, jak gdyby Polacy wogóle nie mogli liczyć nigdy na niepodległość ani dążyć do niej. Polscy socyalni demokraci byliby łajdakami, gdyby nie stawiali żądania niepodległości. (B. słusznie!) Lecz cóż to skłania zarząd nasz do zapraszania grupy Luxemburg na te konferencye? W Lubece tak przed-

stawiała ona sprawę, jak gdyby była przedstawicielką większości polskich towarzyszy. To jest szwindel bezgraniczny: zaraz tego dowiodę! A dowód mam nie od polskich towarzyszy, tylko od części niemieckich tow. z Poznania. Idzie o rewizyę ksiąg „Gazety Ludowej", organu grupy Luxemburg, który otrzymał od naszej partyi w ciągu r. z. 2600 marek subwencyi. Niestety, zarząd zaniedbał poinformować się o tem piśmie; dopiero teraz ma zaprzestać dawania subwencyi. O tej rewizyi otrzymałem następujący list:

„Dla informacyi, podpisana komisya rewizyjna donosi, że przy rewizyi ksiąg „Gazety Ludowej" stwierdzone zostało, iż pismo to ma tylko około 40, ściśle: **37 abonentów** płatnych.

Z pozdrowieniem partyjnem: podpisy".

List ten dowodzi, że tak zw. grupa „Gazety Ludowej" nie ma żadnego znaczenia. Fakt, że w okresie wyborczym, gdy wszystkim pismom przybywa abonentów, to spadło do 37 (z początku miało podobno około 100), dowodzi, że rzekomo potężna organizacya, stojąca za tow. Luxemburg, żyje tylko w jej wyobraźni. Tak rzecz stoi z Kasprzakiem i Komp. Sądzę, że w przyszłości zarząd oszczędzi partyi wydawania corocznie 70 marek na każdego abonenta „Gazety Ludowej". Trochę za droga zapłata za to, że tow. Luxem. może wciąż podjudzać polskich i niemieckich towarzyszy jednych przeciw drugim. Mam nadzieję, że dziś po raz ostatni słyszeliśmy o Kasprzaku i Spółce".

Tu zabiera głos

pani **Róża Luxemburg.**

Czytajcie i podziwiajcie:

„Jeśli kto podejrzewał socyalną demokracyę niemiecką o niedostateczny stopień zmysłu sprawiedliwości, to ta krótka dyskusya zgotowała mu miłą niespodziankę. Ja sama ucieszyłam się wielce, słysząc tu tylu obrońców rzekomo uciśnionego narodu polskiego, do którego i ja mam zaszczyt należeć. Tylko, że znajomość rzeczy nie stała na wysokości sprawiedliwości. (Wesołość). Hönisch przedstawia rzecz tak, jak gdyby „List otwarty" był oznaką nadzwyczajnej potrzeby pokoju w polskiej organizacyi osobnej. Tak wygląda z „Listu otwartego", ale to tylko pozór. Pomimo tej miłości pokoju, organizacya ta przed dwoma laty (?!) wystąpiła z socyalnej demokracyi niemieckiej; postawiła kandydatów przeciw niemieckim kandydatom *); zarząd niemiecki musiał na trzech długich konferencyach biedzić się z tymi miłośnikami pokoju! Gdyby „mój kochany (sic!) naród polski" był rzeczywiście uciśniony przez nie-

*) Jak wiadomo, było wręcz odwrotnie.

miecką socyalną demokracyę, to ja pierwsza, nie jako polka, tylko jako socyalna demokratka, podniosłabym sztandar buntu przeciw zarządowi, choć się z nim w ostatnich czasach tak kochamy! (Wesołość). Ale każdy wie, że nikt nie broni gorliwiej praw i wolności narodu polskiego, niż nasza socyalna demokracya. Ale nie o to idzie, czy mamy bronić uciśnionych Polaków, tylko o to, czy polscy socyaliści mają razem z niemieckimi stanowić partyę klasową, czy też w agitacyi moment narodowy ma być wysunięty na pierwszy plan. Samo przez się rozumie się, że każdy naród uciśniony ma święte prawo do wolności i niepodległości, ale ileż to mamy pięknych praw! Każdy z nas ma np. także prawo fruwać, ale nie znam żadnego towarzysza, któryby z tego prawa korzystał — chyba Ledebour, który nie zna kwestyi, więc unosi się w powietrzu (Wesołość!!). Nie idzie o prawo, tylko o możliwość; i właśnie my, którzy stoimy na gruncie materyalistycznego pojmowania dziejów, musimy przedewszystkiem pytać, czy dane żądanie stoi na drodze rozwoju. Rezolucya londyńska ma na myśli samorząd narodów w społeczeństwie socyalistycznem; nie jest rzeczą proletaryatu budować nowe państwo klasowe."

Dzwonek przewodniczącego: czas mówienia, 10 minut, upłynął. Róża robi „dziewiczy przestrach" *) i woła: „O Gott!" aby wywołać „wielką wesołość", korzysta z nastroju, aby uśmiechnąć się do Ledeboura, „z którym wolałaby iść ręka w rękę przeciw rewizyonistom", oraz aby dodać naprędce kilka wymysłów pod adresem P. P. S., i wreszcie stawia wniosek następujący:

„Zjazd wyraża swą zgodę na postępowanie zarządu przy układach z polską organizacyą osobną i przechodzi nad tą sprawą do porządku dziennego".

Złośliwy Ledebour wnosi, żeby pani Lux. dać jeszcze 10 minut czasu, żeby się wypowiedziała co do 37 abonentów „Gazety Ludowej" (Bardzo dobrze! i wesołość).

Przewodniczący Singer objaśnia, że Lux., jeśli chce, może się ponownie zapisać do głosu.

Ledebour cofa swój wniosek w nadziei, że Lux. skorzysta z uprzejmego zaproszenia Singera.

Adolf Braun proponuje zamknięcie dyskusyi. Dziś nie rozwiążemy kwestyi polskiej, a kongres ma co innego do roboty.

Löbe z Wrocławia chciałby koniecznie coś powiedzieć o zachowaniu się P. P. S. podczas wyborów, więc jest przeciw zamknięciu dyskusyi.

Dyskusya zostaje zamknięta. Głos ma tylko, zamiast referenta Gerischa, który musiał wyjechać, inny członek zarządu, towarzysz

*) Wyrażenie Sächs. Arbeiterzeitung.

Pfannkuch. Przedstawiono tu sprawę tak, jak gdybyśmy żyli z Polakami w wojnie, w głębokiem rozdwojeniu. Tak nie jest. Mamy względem Polaków wogóle, zarówno jak Polaków we własnym kraju, takie same uczucia, jak względem każdego innego narodu. Nie udało nam się doprowadzić do zjednoczenia, ale pomimo to, już potem, spełniliśmy w całości nasuwające się nam obowiązki, wynikające z międzynarodowej solidarności. Polacy nie chcieli zjednoczenia; uważali, że muszą podjąć rywalizacyę „z narodowymi wielkopolakami“. Jeśli oddają się oni złudzeniu, że w ten sposób pomagają rozpowszechnieniu idei socyalistycznej wśród ludności polskiej, to my jesteśmy innego zdania. Przedewszystkiem powinno się, zdaniem naszem, wychowywać proletaryat w duchu socyalno-demokratycznym (B. słusznie!) Co do tajnego protokołu, dlaczego w nim zawarliśmy pewne specyalne zastrzeżenie? „Aby Polakom, którzy myślą, że w celu wychowania polskiego proletaryatu muszą pielęgnować ideę narodową polską, nie sprawiać kłopotu (!!). Działaliśmy w dobrej wierze; nikt inny, tylko tow. Bebel wpadł na szczęśliwą myśl tego protokołu dodatkowego, w którym Polacy mieli przecie tylko oświadczyć, że stoją w kwestyi narodowej na gruncie uchwały kongresu londyńskiego. Czyż to takie niesłuszne żądanie. Gdyby Polacy okazali trochę chęci do ustępstw, to mandat komisyi pokojowej byłby spełniony. Dopuścić zaś Polaków, jako osobną równouprawnioną część wewnątrz niemieckiej organizacyi, bez tego warunku — tego się nie podejmuję“. Nie gwałciliśmy Polaków. „Przedtem byli częścią składową partyi niemieckiej, teraz musimy pogodzić się z faktem, że stoją po za jej granicami. Jakikolwiek będzie skład zarządu partyi, nie wymówi się on od spełnienia obowiązków solidarności międzynarodowej. Tylko teraz muszą Polacy przedkładać nam swe życzenia; nie jesteśmy obowiązani eo ipso troszczyć się o nich, jak gdyby należeli do partyi niemieckiej“. Gdy nastąpiło porozumienie co do kandydatów, partya niemiecka, jako bogatsza, natychmiast oświadczyła gotowość ponieść w znacznej części koszta i polskich okręgów *). Spełniliśmy obowiązek partyjny, dlatego proszę o przyjęcie wniosku Luxemburg (B. dobrze!).

Katzenstein jest zdania, że nad wnioskiem Luxemburg głosować nie można, gdyż nie było nad nim dyskusyi.

Singer oświadcza, że to nie przeszkadza, gdyż wniosek ma na celu tylko zatwierdzenie postępowania zarządu w rozpatrywanej sprawie.

---

*) Oprócz tego tow. Pfannkuch, mówiąc o spełnianiu obowiązków międzynarodowej solidarności, miał zapewne na myśli subwencyę, udzieloną krakowskiemu Naprzodowi. (Również rzymskie Avanti i jeden organ holenderski pobierały subwencyę).

W głosowaniu wniosek Luxemburg zostaje przyjęty. Ledebour prosi o stwierdzenie, kto jest przeciw. Singer oświadcza, że to zbyteczne, bo prezydyum nie ma wątpliwości co do wyniku głosowania (Głosowanie nie było imienne).

Jeszcze parę szczegółów:

Przeciwko mandatom Róży Luxemburg i Gogowsky'ego ogłoszono z Poznania protest w imieniu robotników, nie należących do P. P. S„ ponieważ zostali wybrani na zebraniu, na który nie wszyscy towarzysze byli zaproszeni. Referent komisyi weryfikacyjnej, tow. Grünwald, zaproponował jednak zatwierdzenie mandatów, „ponieważ wobec specyalnych warunków poznańskich nie można było inaczej przeprowadzić wyboru". Co to ma znaczyć – nie rozumiemy.

Na jednem z następnych posiedzeń odczytany został list, podpisany w imieniu towarzyszy-Polaków z Poznania, nie należących do P. P. S., przez czterech z pomiędzy nich, którzy oświadczają, że Róża Luxemburg fałszywie poinformowała kongres, i tylko dlatego kongres przyjął taką uchwałę, pożałowania godną.

Róża Luxemburg oświadcza, że na „intrygi" te odpowie później w prasie.

Oburzony tem wyrażeniem, Ledebour składa piśmienne oświadczenie, że informacye jego pochodzą nie od żadnych intrygantów, tylko od prawowitej komisyi rewizyjnej, którą sam Gogowsky uznał przez wręczenie jej ksiąg „Gazety Ludowej."

Tow. Pfannkuch, referując o sprawozdaniu zarządu, mówił między innemi o agitacyi w Prusach wschodnich i zachodnich, w Poznańskiem i na G. Śląsku. W Królewcu mamy, mówił, dobrą organizacyę; ale już w Prusach zach. nie idzie. Ludzie w Gdańsku, Elblągu i t. d. robią, co mogą, ale więcej osiagnąć nie mogą. „W Poznaniu mieliśmy kierownika ruchu, który zrobił, co mógł, ba! nawet podejmował się więcej, niż mógł, co spowodowało wiele anomalij." (Co ma znaczyć ten sąd o Gogowsky'm?). Na G. Śląsku Winter działał „po bohatersku", ale teraz potrzebuje wypoczynku na czas nieograniczony. Ma go zastąpić Bruhns, jak wyjdzie z więzienia. (Jest to socyal-hakatysta, również jak Winter).

Wreszcie musimy zaznaczyć, że przewodniczący, tow. Singer, zakomunikował kongresowi okrutny wyrok laurahucki, owe 43 lata więzienia. Kongres przyjął tę wiadomość oznakami wzruszenia i wielkiego oburzenia.

* * *

Tak przedstawiają się rozprawy nad kwestyą polską na kongresie drezdeńskim. Przystąpmyż do ich oceny.

Otóż przedewszystkiem za doniosły fakt uważamy zmienioną rolę, jaką na kongresie tym odegrała P. P. S. Towa-

rzyszom naszym sprzykrzyła się rola oskarżanych, i to oskarżanych mniej lub więcej brutalnie, a broniących się grzecznie i łagodnie przed zarzutami warcholstwa, szowinizmu i t. p. zbrodni. W poczuciu słuszności własnej sprawy i doznanej krzywdy, w poczuciu, że domagają się tylko tego, co socyaliści innych narodów już posiadają i uważają za rozumiejące się samo przez się, towarzysze nasi wystąpili stanowczo i energicznie, jako oskarżyciele zarządu partyi niemieckiej i nędznych intrygantów, którzy zarząd ten skłonili do postępków, niezgodnych z zasadami socyalizmu. W swoim „Liście otwartym“, popierając każde twierdzenie dokumentami, tak że nikt nie ośmielił się podać ich prawdziwości w powątpiewanie, wypowiedzieli bez ogródek ostre słowa prawdy, zastrzegli bezwzględnie prawa narodowe organizacyi polskiej.

Energiczna ta i bezwzględna postawa wywarła jaknajlepsze wrażenie: oto drugi ważny fakt. Daleko lepsze wrażenie, niż dawna miękkość i pojednawczość. A to mianowicie w podwójny sposób: przedewszystkiem, jasno i niezbicie przedstawione nadużycia zarządu partyi niemieckiej zatargały sumieniem nieuprzedzonych członków kongresu i skłoniły ich do wystąpienia przeciw zarządowi; powtóre, sami członkowie zarządu, ci, którzy faktycznie prowadzili układy i najwięcej zawinili przeciw P. P. S., wobec tak stanowczego i szczerego oskarżania jakoś zapomnieli swego dawnego tonu względem P. P. S. Rezultat był ten, że wogóle na zjeździe mówiono o P. P. S. w tonie albo życzliwości i prawdziwego braterstwa, albo przynajmniej powagi i szacunku, w tonie bardzo odmiennym od tego, który słyszeliśmy na trzech poprzednich kongresach, w Moguncyi, Lubece i Monachium.

Przedewszystkiem, już w owym „Liście otwartym“, na samym wstępie zarząd P. P. S, stwierdza, że zarząd niemiecki pogodził się nareszcie z istnieniem samodzielnej organizacyi polskiej, ponieważ w sprawozdaniu swem mówi o niej, jako o stojącej po za granicami partyi niemieckiej, a jednocześnie uznaje się za związanego z nią węzłami solidarności międzynarodowej. Istotnie, było to coś nowego w porównaniu z dawniejszemi oświadczeniami, że w granicach jednego państwa nie może być stosunków międzynarodowych, że się nie zna osobnej polskiej partyi socyalistycznej w Niemczech i t. p. Jeszcze na kongresie monachijskim mówca tak poważny i rozważny, jak Auer, nie wahał się wypowiadać o P. P. S. takich zdań, jak: „stoimy wobec ruchu, który nie ma nic wspólnego z dążeniami emancypacyjnemi proletaryatu w naszem rozumieniu“; „nie możemy tolerować, (!) by w granicach państwa niemieckiego powstała niezależna partya, nie licząca się z ruchem niemieckim“; „Polacy, o ile mieszkają wewnątrz granic niemieckich, nie mogą stanowić zupełnie niezależnego od

ogólnej partyi organizmu, muszą być częścią, członkiem naszym — przy tem musimy obstawać“. Uchwalona wtedy rezolucya ogłasza „oddzielenie się grupy P. P. S. za postępek nieusprawiedliwiony“. Jakże inaczej brzmią mowy tow. Gerischa i Pfannkucha w imieniu zarządu na zjeździe tegorocznym! Ani im się śni odmawiać P. P. S. charakteru partyi socyalistycznej, podobnej do wszystkich innych partyj socyalistycznych — bo w przeciwnym razie przecie nie przyznawaliby się z nią do solidarności międzynarodowej, nie zawierali umów co do kandydatur wspólnych, nie popierali materyalnie jej kandydatów. Zarówno przewodniczący Singer, jak Gerisch i Pfannkuch, mówią o „bratniej partyi polskiej“; ten ostatni wyraźnie oświadcza, że trzeba się pogodzić z jej samodzielnością organizacyjną, i nie wyciąga stąd żadnych innych konsekwencyj, tylko tę, że odtąd partya niemiecka nie będzie e o i p s o zobowiązana dawać pieniędzy na potrzeby Polaków — czego zresztą i przedtem przecie nie było, tylko za każdym razem życzenia i propozycye były osobno roztrząsane!

Zarząd niemiecki czuł, że jego postępowanie, odsłonięte w „Liście otwartym“, nie podobało się ogółowi partyi, którego niezadowolenie wyraziło się w tak stanowczych mowach Hänischa, Katzensteina i Ledeboura. Czuł, że nie można mówić o P. P. S. tak, jak się mawiało dawniej, lub pisało w sławnym okólniku grudniowym. Mówcy jego starali się obronić, oczyścić szczególniej z zarzutów, dotyczących owego okólnika, protokołu tajnego oraz złamania słowa, danego Polakom, cofnięcia zrobionych już ustępstw. Obrony tej nie możemy niestety nazwać inaczej, jak nędzną. Chcielibyśmy widzieć tego naiwnego, który uwierzy tow. Gerischowi, że w protokole konferencyi z d. 19 paźdz. zaszła omyłka. Już zarząd P. P. S., w odpowiedzi, ogłoszonej w „Vorwärts“ (Nr 223, d. 24/IX), bardzo ironicznie potraktował tę dziecinną wymówkę, powołując się na list Gerischa z d. 23/XII, w którym tenże pisał, że „zarząd stoi niezmiennie przy swych propozycyach, wraz z przyjętymi na konferencyi dodatkami.“ Istotnie, wniosek polski co do kandydatów został na konferencyi przyjęty w r a z z p o p r a w k ą B e b l a — i co do takiego wniosku zarząd partyi niemieckiej „omylił się“ w skrupulatnie redagowanym protokole! Co do okólnika z 9/XII, trzymanego w tajemnicy przed zarządem P. P. S., to tow. Gerisch raz mówi, że nie był on wypowiedzeniem się zarządu niemieckiego, drugi raz, że był zatwierdzony przez cały zarząd od A do Z, jednem słowem, nie wie, jak wybrnąć z kłopotu. A już najparadniejsze są zapewnienia mówców zarządu, że tajny protokół to zupełnie niewinna rzecz; tymczasem, przyznając, że był spisany „dla ostrożności“ i „w celu oszczędzenia Polakom kłopotu“—jakiegoż kłopotu? z wyrzeczeniem się swych przekonań! — najzupełniej

potwierdzają sąd, wydany o tym manewrze przez zarząd P. P. S. w „Liście otwartym“. Jeśli tow. Pfannkuch zasłania się na tym punkcie Beblem, który na tym zjeździe cieszył się szczególną powagą i popularnością, i gdy dalej tow. Bebel nie zaprzecza przypisywanemu mu autorstwu pomysłu tajnego protokołu, to my możemy na to tylko z całą szczerością odrzec, że pomysł ten nie przynosi zaszczytu tow. Beblowi. Tow. Bebel był na zjeździe drezdeńskim gorliwym stróżem etyki członków partyi, twierdząc, i słusznie, że sprzeciwia się jej pisywanie do takiego pisma, jak „Zukunft“ Hardena. My jednak sądzimy, że postępowanie zarządu niemieckiego w toku układów z P. P. S., a szczególniej pomysł tajnego protokołu z celem wywierania potem nacisku, sprzeciwiają się etyce socyalistycznej conajmniej w równym stopniu. Kant wypowiedział zasadę, że w stosunkach między narodami powinna panować ta sama etyka, co między jednostkami. Marks podjął wyraźnie tę zasadę w odezwach Międzynarodówki, lecz Bebel widocznie o niej zapomniał. Smutne to, tembardziej, że właśnie po nim należało się spodziewać wręcz odmiennego wpływu na resztę członków zarządu.

Mówcy zarządu bronili złej sprawy, wobec czego nie mogli oczywiście być w dobrym humorze. Na karb tego złego humoru i braku wszelkich poważnych argumentów musimy położyć takie twierdzenia, jak że P. P. S. chciała podjąć rywalizacyę z patryotami, że u niej na pierwszym planie stoi uczucie narodowe, że chciała zarządowi niemieckiemu zamydlić oczy. Wzruszamy na to wszystko ramionami. We wspomnianem sprostowaniu zarząd P. P. S. już odpowiedział mówcom zarządu niemieckiego — przytoczeniem raz jeszcze jasnych i kategorycznych oświadczeń „Listu otwartego“ co do charakteru naszej walki o niepodległość. Co zaś do argumentu o mogących grozić partyi niemieckiej procesach w razie popierania dążeń P.P.S., to nie naszą rzeczą jest o tem sądzić; niech partya niemiecka strzeże swego bezpieczeństwa, jak uważa za stosowne; bądź co bądź jednak dziwne to, że P. P. S. sama mniej się tych procesów boi...

Nawet Róża Luxemburg przy całym swym cynizmie nie miała jakoś zwykłego kontenansu. Próbowała ratować się błazeńskimi dowcipami: bo czyż można doprawdy inaczej nazwać porównanie prawa narodów do niepodległości z prawem każdego człowieka do fruwania? Nawiasem mówiąc, porównanie to tłomaczy, dlaczego P. P. S. nie może poprostu poprzestawać na rezolucyi londyńskiej, tylko musi ją wyraźnie interpretować w tym sensie, że w niej zawiera się dążenie do niepodległości Polski; bo taka Luxemburg, a z nią i Pfannkuch i inni, chcą z zawartego w niej prawa do niepodległości zrobić tylko odświętny frazes, odczepne, nie mające żadnego praktycznego

znaczenia. Ale gdzie się podziały dumne zapewnienia pani L., że za nią stoją masy robotnicze polskie, a P. P. S. — to w zaborze rosyjskim „czterech studentów“, a w pruskim — „kompania, co się może pomieścić na jednej kanapie“? Nie słyszeliśmy ich jakoś tym razem. Natomiast okazało się, że za nią stoi aż 37 abonentów, i to w okresie wyborczym. Jeśli dodamy, że „Gazetę Ludową“ prenumerowało z ciekawości kilkanaście towarzystw młodzieży polskiej zagranicą, to na pomieszczenie rzeczywistych jej zwolenników faktycznie nie wiele więcej by trzeba, niż jednej kanapy. Odkrycie tow. Ledeboura, na które pani Róża, mimo grzecznych zaprosin, nie odpowiedziała ani słowa, zdemaskowało tę bezczelną kłamczynię. Cyfra: 37 abonentów za 2600 marek — pozostanie przylepiona do tej megalomanki *).

Towarzyszom Hänischowi, Katzensteinowi i Ledebourowi nie dziękujemy za ich wystąpienie, bo wiemy, jak i oni, że było to spełnienie prostego obowiązku. Cieszymy się z ich mów, bo zawierają dowód, że ci towarzysze niemieccy, którzy zdołali oderwać się od innych spraw, aby zastanowić się nad stosunkiem do Polaków, najzupełniej uznają słuszność żądań i stanowiska P. P. S. Na przeszłorocznym kongresie wyraziło się to tylko w jednym, nie uwzględnionym wcale, wniosku tow. Lebiusa z Drezna; tym razem — w trzech poważnych mowach; jesteśmy przekonani, że przy następnej poważnej sposobności będzie jeszcze lepiej. Zdaniem naszem bowiem „antypolska“ polityka zarządu i części socyalnej demokracyi niemieckiej (używając wyrażenia „antypolska“, wiemy oczywiście doskonale, że polityka ta jest całkiem inaczej antypolską, jak polityka rządu i burżuazyi, jak właściwy hakatyzm), polityka, której pierwsze początki datują się mniej więcej z przed lat sześciu, jest tylko jednym z objawów kryzysu, przez który socyalna demokracya przechodzi w całej swej teoryi i praktyce, jest przemijającą chorobą wzrostu, tak samo, jak cały ten kryzys. Odwracanie się od ostatecznego celu ruchu, pogardliwo-pobłażliwe traktowanie zasad „liczenia się z faktami“, pojmowane w ten sposób, że wszystko, co nie wydaje się możliwem w ciągu

*) Pani Luxemburg oświadczyła na zjeździe, że na list komisyi rewizyjnej poznańskiej odpowie później. Widocznie potrzeba jej było czasu na urządzenie jakiegoś nowego szwindlu. Istotnie, na zebraniu sprawozdawczem w Poznaniu, w 3 tygodnie po kongresie, Gogowsky twierdził, że „Gazeta Ludowa“ miała 121, później 163 abonentów. I to byłoby dyabelnie mało; ale i przeciw temu członek komisyi rewizyjnej, tow. Schultz, bynajmniej nie przyjaciel P. P. S., zaprotestował energicznie, przypominając, że Gogowsky sam podczas rewizyi przyznał, że jest 37 abonentów płatnych. Jednak liczby 120 i 150 zjawiają się znowu w notatce biura partyjnego w „Vorwärts“ o stanie ruchu w Poznaniu. Potrafiono z łatwością wmówić to tow. Pfannkuchowi... Ano, ma buchalterya swe sekrety!

najbliższych lat kilku, uważane jest za donkiszotowską utopię, przystosowywanie się do teraźniejszego społeczeństwa i państwa, to są wszystko przecie cechy charakterystyczne kryzysu, wynikające z początku z samego wielkiego wzrostu partyi, z przyłączenia się do niej żywiołów pośrednich, z których wpływem liczą się i przywódcy. Niejeden socyalista, przyłączający się dziś do takiej olbrzymiej partyi, jak niemiecka, nie potrzebuje już, jak dawniej, zrywać całkowicie ze społeczeństwem burżuazyjnem, nie czuje się jego wrogiem na całej linii; to też nie poddaje bardzo ścisłej kontroli i swego poczucia narodowego, nie czuje się w obowiązku wykorzenienia z niego wszelkich popędów i przesądów zaborczości. To są główne, naturalne przyczyny zmienionego stanowiska części partyi względem sprawy polskiej. Że pani Lux. jest przytem straszną szermierką rewolucyjnej ortodoksyi i nagwałt narzuca swą pomoc przeciwnikom rewizyonizmu, niby natrętna mucha owemu wołu-oraczowi, to nie zmienia wcale stanu rzeczy; bo jej „marksizm“ polega tylko na taniej a krzykliwej frazeologii i fanatycznym szematyzmie, odsyłającym wszystko do społeczeństwa przyszłego; a taki „rewolucyonizm“ jest tylko odwrotnym biegunem oportunizmu, często, jak np. na punkcie niedostatecznego zwalczania istniejących form państwowych, bywa z nim w zgodzie, i nie ma nic wspólnego z rzeczywiście rewolucyjną, a zarazem praktyczną, polityką klasową proletaryatu. Ogół socyalnej demokracyi niemieckiej dowiódł w Dreznie, że zaczyna się stanowczo otrząsać z rewizyonizmu, że chce – i może – ciągły, jeszcze większy wzrost partyi pogodzić z zachowaniem świadomości rewolucyjnej. To, co nazywamy socyal-hakatyzmem, jest tylko odmianą rewizyonizmu, i to odmianą – pomimo swych pozorów czysto rewolucyjnej międzynarodowości – najreakcyjniejszą, najbardziej śliską i demoralizującą. Ogół towarzyszy niemieckich nie zdaje sobie jeszcze z tego sprawy, ponieważ ruch nasz własny jest jeszcze zbyt słaby, a więc cała sprawa wydaje im się zbyt mało ważną. Ale musi z siłą konieczności naturalnej przyjść czas ,kiedy wraz z wzrostem naszego ruchu okaże się jasno ważność kwestyi; wówczas nie wątpimy wcale, że i na tym punkcie przezwyciężony będzie rewizyonizm, przywrócone panowanie czystych zasad sprawiedliwości socyalistycznej. Uważamy nawet mowy trzech towarzyszy w Dreznie, samorodne, żadnymi zabiegami nie spowodowane, za pierwszy krok w tym kierunku.

Dlatego nie bralibyśmy wcale tragicznie samego przez się przyjęcia wniosku pani Luxemburg, rozgrzeszającego zarząd niemiecki z jego postępowania względem P. P. S. Było to w znacznej części rezultatem obojętności delegatów, zaabsorbowanych całkowicie i zmęczonych namiętnemi rozprawami nad rewizyonizmem. Tak też tłomaczy tę uchwałę i or-

gan partyjny w Dreznie (ostro antyrewizyonistyczny), „Sächs. Arbeiterzeitung“, wyraża z powodu tej uchwały swe niezadowolenie, kpi z Róży Luxemburg i żąda ponownego, gruntownego przedyskutowania sprawy na zjeździe następnym: taka zmiana w piśmie, w którem przed 6 laty zaczął Winter pomieszczać swe germanizatorskie wylewy! Jednakowoż uchwała kongresu, która może wielu delegatom wydawała się obojętną, będzie miała złe następstwa, a to dlatego, że pozostawiła wolne ręce zarządowi, a zarząd nie ma w sprawach polskich dobrej woli. Już zdążył złożyć tego nowy dowód.

Przy całem uznaniu, jakie mamy dla tow. Katzensteina i Ledeboura, musimy powiedzieć, że mieli zbyt wiele zaufania do zarządu na punkcie zmiany polityki względem P. P. S. Ledebour powiedział w swej mowie, że zarząd ma zaprzestać dawania subwencyi „Gazecie Ludowej“. Skoro powiedział tak, to musiał był otrzymać odpowiednie zapewnienia od zarządu; zresztą, nikt z członków zarządu przeciw temu nie powiedział ani słowa, a więc zjazd mógł istotnie się spodziewać, że tak będzie. Przypuszczamy, że zarząd miał istotnie wtedy ten zamiar, wobec tego, że Gogowsky, podług słów samego tow. Pfannkucha, naraził partyę na nieprzyjemności, a Kasprzak okazał się, jak pisze „Naprzód“ „zwyczajnym oczajduszą“, za co mieliśmy go oddawna i ostrzegali przed nim towarzyszy niemieckich, i niedobrowolnie opuścił organizacyę poznańską. Jednak pani Lux. udało się raz jeszcze wpłynąć na zarząd; sprowadziła tow. Pfannkucha do Poznania na konferencyę i, dzięki niechęci zarządu do P. P. S., wytargowała przedłużenie subwencyi, a nawet uznanie „Gazety Ludowej“ za organ partyi!

To byłoby oburzające, gdyby nie było śmieszne. Skoro jednak partya niemiecka jest dość bogata, aby módz stracić jeszcze kilka tysięcy marek, zanim się przekona, że taktyka socyal-hakatystów nie może nigdy znaleść przystępu do ludu polskiego, to niech je traci. Ale z tego wynika, że my, że P. P. S. nie może się po zjeździe drezdeńskim oddawać optymizmowi ani schodzić z drogi, na którą, z pożytkiem dla polskiego proletaryatu, weszła. Jesteśmy przekonani, że kiedyś, prędzej czy później, stosunek organizacyjny między P. P. S. a socyalną demokracyą niemiecką zostanie uregulowany; ale dopóki strona niemiecka nie uzna całkowicie słuszności naszego programu, naszej autonomii organizacyjnej i konieczności kandydatur polskich, dotychczas o żadnych ugodach nie może być mowy. P. P. S. pójdzie dalej spokojnie swoją drogą, prostą choć ciernistą, z niezachwianą wiarą w przyszłość, licząc się tylko z interesami polskiego proletaryatu i właśnie dlatego nie wyrzekając się ścisłego, braterskiego współdziałania z socyalną demokracyą niemiecką w wielu wypadkach w imię solidarności międzynarodowej i wskutek posiadania wspólnego

wroga—rządu. Jako zaś owoc pozytywny debaty drezdeńskiej zanotujemy i zapamiętamy sobie—uznanie przez zarząd i zjazd socyalnej demokracyi niemieckiej samoistności organizacyjnej P. P. S.—jako prawa i jako faktu.

Ze wspomnień wygnańca.

IV.

Byliśmy tak zgłodniali, że na widok tych kilkunastu domów, rzuconych w głębi tajgi i nie kryjących, być może, dla nas nic przyjemnego, ucieszyliśmy się tak, jak cieszyłem się, jadąc do Kołymska, na widok iskier wylatujących z komina jurty. Domy rozrzucone były w prawdziwie jakuckim nieporządku. Parę z nich stało przy drodze, patrząc na nią swemi błoniastemi oknami; inne poodwracano tyłem do gościńca, a jeszcze inne bokiem. W takiej osadzie nie wiesz, gdzie początek, a gdzie koniec. Dla miłośników oryginalności osada taka stała by się, być może, powodem zachwytów; lecz my, wychowani w szczególnem poszanowaniu prawa i porządku we wszystkich dziedzinach życia, lubimy wszędzie strychulec.

Wjechawszy między chaty, które były bez dachów – zupełnie jak w Kołymsku – zaczęliśmy wywoływać żyjących; lecz głosy nasze przebrzmiały bez celu; osada nie okazała najmniejszego znaku życia. Zsiadłszy z koni, dobijaliśmy się do każdego domu po kolei - wszędzie cisza grobowa. Trafiliśmy do zimowych leż jakuckich. Żołądki nasze, oszukiwane tak długo, rozkoszujące się przed wjazdem do osady przedsmakiem uczty, zawiedzione w swych nadziejach buntowały się nie na żarty. Lecz wrażenie pustki. wiejącej od tych chałup rozrzuconych w lesie, było tak silne, że postanowiliśmy wyjechać z tego przeklętego miejsca i w pewnej odległości urządzić koczowisko.

Za ostatnim domem osady szeroki pas łąki przecinał las. W świetle wiosennej nocy jakuckiej, bladej i nudnej, jak uśmiech steranej zalotnicy, łąka ta, ścieśniona z dwóch stron ścianami tajgi, te chałupy bez życia, pozostałe za nami, puste żołądki nasze i naszych koni, idących z opuszczonymi łbami i leniwie opędzających się od komarów, goniących nas chmarami, zlały się w dręczący obraz grozy i smutku. Można z głodu umrzeć i nikt o tem się nie dowie!

Po naradzie z towarzyszem postanowiliśmy wjechać do tajgi i jechać brzegiem owej łąki, a po straceniu z oczu pustej osady urządzić popas i nakarmić porządnie konie.

Zbliżywszy się trochę do gąszczu leśnego, trafiliśmy na błota; z początku konie nie bardzo grzęzły, lecz im dalej, tem gorzej. Trzeba było ostrożnie objeżdżać, by nie ugrząść na dobre. Pomału zbliżaliśmy się do lasu. Niewiele już brakowało, by się wydostać na twardy grunt, gdyśmy spostrzegli dwie postacie, posuwające się skrajem łąki w kierunku owej pustej osady. Zbliżaliśmy się ku sobie i wkrótce byliśmy naprzeciwko nich, oddzieleni kawałkiem błotnistego gruntu. Poznaliśmy w nich Jakutów. Spotkanie to uradowało nas bardzo, ba, gdybyśmy byli spotkali

nawet dyabłów nie tylko Jakutów, i gdybyśmy się spodziewali, że dostaniemy od nich strawy, lub dowiemy się, czy prędko możemy jej dostać, bylibyśmy radzi!

Prawdopodobnie Jakuci owi nie przypuszczali, że mogą spotkać w tajdze kogoś, nie należącego do ich szlachetnego plemienia. Szli spokojnie, podobni do jakichś duchów leśnych, póki nie zawołaliśmy na nich. Po pierwszym dźwięku, wydanym nie pamiętam przez którego z nas — dohor — (towarzyszu, przyjacielu) Jakuci zamienili się w słupy soli. Stanęli, jak posągi, wyciągając ku nam szyje.

„Dohor, tochto“ — zaczął mój towarzysz. Jakuci poruszyli się jakoś niecierpliwie, lecz nie ruszali się z miejsca. Chcąc dostać się do nich jaknajprędzej, skierowaliśmy konie prosto do miejsca, na którem zatrzymał ich nasz krzyk. Niespodziewany skutek wywołał ten ruch. Jakuci zawrócili i zaczęli biedz jak opętani w stronę lasu, t. j. uciekać od nas. Trzeba było ich złapać, by dowiedzieć się od nich, gdzie się znajdujemy i czy prędko możemy wyjechać z tajgi. Widząc ich zmykających, zaczęliśmy krzyczeć obaj; to poskutkowało, jak bicz na gorącego konia, i Jakuci popędzili jeszcze lepiej. Postanowiłem ich gonić. Zakląwszy po pogańsku, palnąłem konia piętami, by szedł prędzej. Koń rzucił się naprzód, lecz ugrzązł po brzuch w błoto i nie mógł wyleść. Trzeba było zleść i pomódz mu wyleść z błota. Tymczasem Jakuci znikli w tajdze. Nim wybrnęliśmy z błota, upłynęło tyle czasu, że poszukiwania Jakutów w tajdze były daremne. A szukaliśmy ich gorliwie!

Byliśmy wściekli i prawdopodobnie bylibyśmy zbili Jakutów, gdybyśmy ich znaleźli. Prawdopodobnie w przesądnych mózgownicach jakuckich zrodziło się podejrzenie, że mają do czynienia z dyabłami i dziś opowiadają o nas niestworzone rzeczy, ubierając nas w niemożliwe barwy i kształty. A my byliśmy poprostu głodni i więcej godni politowania, niż obawy. Zirytowani do ostatecznych granic, jechaliśmy dalej. Humory, jak to powiadają, wydłużyły się nam. Niewiadomość, jak długo będzie trwała ta nasza wędrówka po tajdze o głodzie, przepełniała czarę naszych utrapień. Koniom boki wpadły tak okrutnie, że była obawa, iż nie długo będą mogły iść. Zaczęliśmy żałować, żeśmy ich nie nakarmili na owej łące błotnistej, opodal pustych chat. Goniąc Jakutów, odjechaliśmy od tych miejsc dosyć daleko i nie byliśmy pewni, w jakim kierunku jechać teraz, by się tam dostać z powrotem.

Chcąc sprobować szczęścia, zdaliśmy losy nasze na łaskę instynktu koni, i te wkrótce wyniosły nas na piękną polanę, porośniętą przepyszną trawą. Natknąwszy się na takie skarby, o znalezieniu których w tej tajdze jużeśmy zwątpili, rozłożyliśmy się obozem. Konie nie pozwalały się rozkulbaczyć, znęcone ucztą, jakiej od wjazdu do tajgi nie miały. Drżały poprostu z rozkoszy. Uporawszy się wreszcie z naszemi bydlętami, rozdzieliliśmy między siebie dalsze funkcye, jak zwykle bywało. Jeden rozniecał ognisko, a drugi, tym razem ja, poszedł szukać wody na herbatę. Było to jedyne pożywienie, które nam zostało dlatego, że konie nie uznawały chińskiej trawy. Wziąwszy z sobą na wszelki wypadek karabin, ruszyłem na los szczęścia ku bliskiej ścianie lasu, opasującego naszą dąbrowę. Zagłębiwszy się trochę pomiędzy drzewa, usłyszałem kwakanie kaczki. Idąc w kierunku, skąd dochodziło kwakanie, natknąłem się na jezioro dosyć duże, porośnięte gęsto trawą, i, jak się okazało, zamieszkałe przez kaczki.

Odkrycie to wprawiło mnie w zachwyt. Już widziałem kaczkę na

rożnie, a po kilkudniowym poście takie pieczyste nie do pogardzenia. W tej chwili cała moja istota skupiła się w oczach. Rozumiałem obecnie doskonale instynkt krwiożerczy pierwotnego człowieka. Słyszałem łażenie kaczek po wodzie gdzieś niedaleko, a nie mogłem ich zobaczyć w trawie. W miarę oczekiwania rósł we mnie upór i złość. Zapomniałem o towarzyszu, o tem, że przyszedłem po wodę, i z karabinem, gotowym do strzału, czekałem, bojąc się oddychać głośniej. Przesiedziałbym tak nie wiem jak długo, gdyby nie krzyk towarzysza, nawołującego mnie z polany. Na razie nie odpowiadałem mu, bojąc się spłoszyć kaczki, lecz słysząc jak zaczyna krzyczeć coraz głośniej i coraz częściej i niespokojniej, musiałem się odezwać, by go uspokoić. Zaniósłszy wodę i opowiedziawszy przyczyny, dlaczego nie odpowiedziałem na pierwsze wołanie, wróciłem na stanowisko wypatrywać kaczki.

Niestety, pomimo ostrożności i wypatrywania aż do bólu w oczach, nie mogłem nic w trawach zobaczyć. W końcu chłód nocy i zmęczenie zapędziły mnie do ogniska. Musieliśmy zadowolnić się herbatą. Po herbacie poszedł mój towarzysz nad jezioro i również bez skutku. „Podłe kaczki“, jak powiadał jeden z kołymczan, nie chciały wyleźć pod strzał! Siedzieliśmy długo w owej dąbrowie, chcąc odżywić konie, bo aż 18 godzin, i wędrówki na jezioro powtarzały się kilka razy (pieczyste nęciło), lecz zawsze bez skutku. Wyjechaliśmy dalej, nie skosztowawszy kaczki, z żołądkami przepłukanymi herbatą!

Nie bacząc na ośmnastogodzinny odpoczynek na polanie, byliśmy do tego stopnia zmęczeni, że nie mogliśmy dojść do ładu, w jakim kierunku jechać i pierwsze trzy godziny po wyruszeniu jechaliśmy w kierunku przeciwnym do tego, w którym powinniśmy byli jechać.

Kiwanie się na koniu działało usypiająco, to też wkrótce po wyjeździe z dąbrowy spałem na siodle, budząc się tylko przy silniejszem kiwnięciu. Otrzeźwiło mnie silne uderzenie w kolano. Koń mój, omijając jakąś przeszkodę, przeszedł tak blisko pnia, że zaczepiłem nogą o niego i o mało nie wyleciałem z siodła. Ból straszny przeszkodził dalszej drzemce i zmusił do zwracania uwagi na drogę. Przysłowie: niema tego złego, co by na dobre nie wyszło, sprawdziło się i obecnie. Jechaliśmy wąziutkim przesmykiem leśnym, jakgdyby aleją umyślnie przez kogoś wyciętą. Kiedy i jak wjechaliśmy tutaj, nie mogłem sobie zdać sprawy. Dno tego przesmyku wyglądało tak, jakgdyby tutaj niegdyś płynął strumień. Przepyszne modrzewie, wysokie i proste, tworzyły gałęziami swemi takie gęste sklepienie nad nami, że w alei było prawie ciemno. Cisza w tajdze była nadzwyczajna. Nawet i komarów było mniej tutaj.

Pomimo dokuczliwego bólu w stłuczonej nodze piękność surowa tajgi w tem miejscu, groza i jakiś majestat siły dzikiej, wobec której czujesz się maluczkim aż do śmieszności, opanowały mię. Po ośmiodniowem błąkaniu się po tajdze pierwszy raz teraz patrzyłem z jakimś strachem zabobonnym na te dwie ściany olbrzymich drzew, cisnących się po obu stronach przesmyku. Zdawało mi się, że popełniamy świętokradztwo, naruszając tę ciszę surową; że te olbrzymy – drzewa zwalą się na nas i zgniotą nas. Lecz pomimo to za nic nie wyszedłbym z tej alei; pragnąłem, żeby ciągnęła się w nieskończoność. Przypominały mi się opowiadania włóczęgów o tajdze i ta miłość bałwochwalczo-dziecinna, jaką otaczają ją w swych opowiadaniach. „Tajga–matuszka, skrojet i sogriejet, a inogda i nakormit“ (tajga–matula, schowa i ogrzeje, a czasem i nakarmi), mówił mi jeden włóczęga. „I nie zdradzi, a ludzie zdradzą“ – dodawał.

Zwykle co pewien czas sprawdzaliśmy według kompasu kierunek drogi. Było to konieczne ze względu na potrzebę objeżdżania błot. jezior leśnych i gąszczów, przez które nie można było się przedzierać. Gdy się skończyła aleja i stanęliśmy przed zwartą ścianą lasu, pokazało się, że cały czas od ostatniego popasu zagłębialiśmy się w tajgę, zamiast z niej wyjeżdżać. Ponieważ gąszcz był za wielki, by się przezeń przebijać, musieliśmy wracać z powrotem naszą aleją póty, póki nie spotkamy miejsc, możliwych do przejścia. Towarzysz mój był bardzo niezadowolony z tego, i ja, pomimo zachwycającej piękności tych miejsc, wolałbym był, żebyśmy byli bliżej kresów tajgi. Gdyby te piękne wrażenia tłumiły głód, dokuczający nam w tej chwili, nie bardzo bym się był gniewał za ten spacer powrotny.

Znalazłszy lukę między dzewami, opuściliśmy tę niefortunną aleję, będącą powodem tylu wrażeń najrozmaitszych mojego materyalistycznego serca. Słońce wysoko wpełzło już na niebo, gdyśmy wjechali znów na wysokie miejsca tajgi. Zaczęliśmy oglądać się za odpowiedniem miejscem do odpoczynku. Dopiero koło południa dojechaliśmy do wielkiego jeziora w tajdze, nad którem obozowała cała kupa Jakutów. Jedni łowili ryby sieciami, inni uganiali się za krowami, łażącemi po lesie. Brzegi jeziora były już całkiem oskubane przez nie, tak, że nawet nasze koniska po pierwszem opuszczeniu łbów podnosiły je z ogromnem rozczarowaniem i poszły skubać borówki.

Za to my dostaliśmy ryb i świeżego mleka. Apetyty nasze wprawiły w podziwienie nawet Jakutów. Od nich też dowiedzieliśmy się, że za trzy, a najdalej cztery godziny można wyjechać z tajgi. Rzeczywiście w 5 godzin po rozstaniu się z Jakutami wyjechaliśmy z tajgi.

Zmęczenie, zadowolenie, żeśmy się w końcu szczęśliwie wydobyli z tajgi, widok Leny, której wstęga srebrzyła się na końcu łąki, na której roztasowaliśmy się dla odpoczynku. wszystko to sprawiło, że zapomnieliśmy o wszelkich ostrożnościach, uprawianych w tajdze i zasnęliśmy obaj, zdążywszy tylko rozkulbaczyć i przywiązać konie do krzaków. Widzieliśmy doskonale porozrzucane na łące w odległości 2–3 wiorst od nas chałupy jakuckie, lecz potrzeba snu zagłuszyła w nas wszystkie obawy. W tej chwili było dla nas wszystko po za potrzebą snu drobnostką. Przebudziłem się pierwszy już nad wieczorem. Po niespodziewanej uczcie w tajdze chciało się pić. Zakrzątnąłem się koło przyrządzania herbaty, i gdy już była gotowa, obudziłem swego towarzysza. Wieczór zapowiadał się piękny. Słońce, staczające się za Lenę, złociło wierzchołki tajgi wysoko nad nami, my zaś, leżąc u stóp gór, rozkoszowaliśmy się bogactwem barw, osnuwających całą okolicę. Niewiele człowiekowi potrzeba, by rozwiać pesymizm. Dla nas np. wystarczyło kilka ryb i parę garnuszków mleka, no i opuszczenia tajgi, by patrzeć na to, co jeszcze dzisiaj wydawało się straszne, z komicznego punktu widzenia.

Rozkoszowanie się nasze tak długo oczekiwanym odpoczynkiem przerwane zostało bardzo nieprzyjemnym wypadkiem. Towarzysz mój, spojrzawszy na drogę, wiodącą od osady jakuckiej do tajgi, zauważył niezwykły ruch Jakutów na niej. Leżeliśmy kilka staj od drogi, zasłonięci krzakami. Ten niezwykły pochód Jakutów zauważyć można było dopiero wtedy, gdy ostatni zaczęli wstępować na górę. Towarzysz zwrócił moją uwagę na nich, mniemając, że to myśliwi. Gdym spojrzał we wskazanym kierunku i zobaczył kilkudziesięciu Jakutów, postępujących jeden za drugim, idących obławą niejako, uzbrojonych kijami i strzelbami, spo-

glądających w naszą stronę, zrozumiałem odrazu, o co im chodzi. Nim zdążyłem zakomunikować swoje obawy towarzyszowi, linia Jakutów zaczęła się wyginać w łuk, centrem którego byliśmy my. Po chwili zerwało się z trawy (widocznie podpełzli na brzuchach) kilku Jakutów. porwali nasze konie, i poczęli umykać z nimi w stronę tajgi.

Teraz nie było już żadnej wątpliwości, że Jakuci polują na nas. Byli jeszcze tak daleko od nas, że mieliśmy dosyć czasu naradzać się: czy pozwolić się wziąć bez oporu, czy też zmierzyć do pierwszego lepszego i pokazać im, że potrafimy strzelać. Wspomnę w nawiasie, że towarzysz mój strzelał z karabinu znakomicie. Ładunków mieliśmy dosyć i chęć wielką ukarania tych samozwańczych policyantów carskich. Powstała tylko kwestya. co dalej? Znając Jakutów, mogłem się spodziewać, że po kilku celnych strzałach drapną. Lecz o nas będzie za głośno w okolicy i daleko nie zajdziemy. Przytem pozwoliliśmy zabrać sobie konie. Tymczasem łuk jakucki zbliżał się powoli ku nam z ogromnemi ostrożnościami. Leżąc w krzakach, mieliśmy ze złożonych na kupę rzeczy małą barykadę, z za której można się było długo odstrzeliwać. Wobec niechęci powrotu do Jakucka wzrastała we mnie chęć obrony. Lecz gdym się obejrzał i zobaczył, że i z drugiej strony ciągną Jakuci na nas, przekonałem się, że walka byłaby strasznie nierówna.

Pomimo rozdrażnienia. w jakie wprawiła nas ta niespodzianka, śledziliśmy obaj te niepewne ruchy Jakutów z jednej i z drugiej strony z uczuciem tragi-komizmu, że się tak wyrażę. Pomimo rozpaczliwego położenia, w jakiem znaleźliśmy się tak raptownie, bawiło nas to wymachiwanie rękami, to, jak można było zauważyć, dodawanie sobie odwagi giestami. Sprawiało nam głupią przyjemność wrażenie, że Jakuci boją się nas. Szli ogromnie ostrożnie, nie wydając najmniejszego dźwięku jeden przy drugim. Co chwila przystawali i giestykulowali bardzo żywo; widocznie się naradzali, czy iść dalej. My ze swej strony leżeliśmy, nie dając najmniejszego znaku życia, czekając, co będzie dalej.

Uradziliśmy już cały plan postępowania. więc uspokoiliśmy się trochę. Wybraliśmy z dwojga złego lepsze. Tymczasem Jakuci, zbliżywszy się do nas na 200 może kroków, zaczęli krzyczeć po rosyjsku: „wychodi“ (wychodź, wychodź). Nie było sensu bawić się dłużej. Sytuacya, pomimo komicznego zachowania się Jakutów, była dla nas niełatwa. Chcieliśmy się przekonać, czy plan nasz będzie dobry, jaknajprędzej. Zostawiwszy karabin na legowisku, by nie przestraszyć jeszcze bardziej naszych prześladowców, ze schowanymi rewolwerami i nożami na wszelki wypadek. wyruszyliśmy z krzaków i zaczęliśmy iść w stronę łuku zachodzącego nam od drogi. Ledwie postąpiliśmy kilkadziesiąt kroków, jeden z Jakutów, umiejący, jak się okazało później, po rosyjsku, zaczął krzyczeć, byśmy bliżej nie podchodzili, bo będą strzelać. Stanęliśmy, i zaczął się dyalog na odległość. Pertraktując z Jakutem mimowoli, chcąc ulżyć piersiom, zaczęliśmy się zbliżać do otaczających nas, którzy ustępowali krzycząc: „nie podchodi, budiem strielat'“ (nie podchodź, bo będziemy strzelali), frazes, którym groził nam interlokutor.

O ile z początku cała ta heca wydawała się komiczną, o tyle, w miarę przedłużania się, zaczynała nas irytować. Nie mogliśmy się porozumieć, czego chcą od nas. Wreszcie po długich przemówieniach zrozumieliśmy, że chcą nas prowadzić do osady, do „gołowy“ (rodzaj sołtysa jakuckiego).

— Jakże nas zaprowadzicie, kiedy boicie się przystąpić do nas? — spytałem. Jakut pomyślał trochę i odpowiedział: — a tak pójdziemy.

— A jeżeli gołowa taki tchórz, jak ty, to jakże porozumiemy się z nim? W takim razie nie mamy poco chodzić do niego.

— Pisarz będzie — odpowiedział.

W tym sensie prowadzona rozmowa nie mogła nic rozstrzygnąć; poszliśmy tedy ku osadzie, prowadzeni przez Jakutów, bojących się do nas zbliżyć.

Gdyśmy odeszli kawałek od legowiska, Jakuci, idący z tyłu, rzucili się na nasze rzeczy, i rozdzieliwszy je między siebie, nieśli w tryumfie za nami.

Pochód nasz tryumfalny trwał dosyć długo, gdyż do osady było kilka wiorst. Widząc, że z asystą niczego się nie dogadamy, szliśmy umawiając się w dalszym ciągu nad postępowaniem naszem z władzami jakuckiemi. Plan mój, oparty na znajomości Jakutów, okazał się bardzo dobry.

Po przyjściu do osady Jakuci, widząc nas spokojnie idących przez całą drogę, zaczęli się powoli oswajać, lecz bliżej, niż o 10 kroków, żaden nie podszedł. Nawet i „gołowa", prosząc nas do izby swojej, usunął się od progu tak daleko, żeby go nie dosięgnąć. Lecz nie chcieliśmy wejść do chaty i zażądaliśmy, by nas w tej chwili odstawiono do ułusu (urzędu gminnego).

My wam pokażemy, krzyczeliśmy, co to znaczy napastować ludzi na drodze. „Panie — rzekł gołowa — posłaliśmy już po pisarza, który lada chwila nadejdzie".

Była to okoliczność dla nas bardzo wygodna, lecz nie chcąc dać nic do myślenia, nie przestaliśmy domagać się odstawienia do ułusu. Wiedzieliśmy, że nas nie odstawią, bo było za daleko i z natarczywością żądaliśmy odstawienia. Skończyło się na tem, że Jakuci poprosili nas, byśmy poczekali godzinę, a jeżeli po godzinie nie przyjdzie pisarz nosleżny (ułus — gmina; nosleg — jednostka, z której składają się ułusy: ułus odpowiada rosyjskiej wołosti, nosleg — sielenje albo sioło). Udając, że ustępujemy ich prośbie, zgodziliśmy się czekać godzinę. Wysłano natychmiast gońca po pisarza, my zaś weszliśmy do mieszkania starosty zupełnie spokojni o dalsze losy. Byliśmy pewni, że papiery nasze wystarczą dla zawrócenia głowy takiemu panu pisarzowi. Inna rzecz byłaby w ułusie, gdzie można spotkać szczwanych ludzi.

O ile Jakuci z początku bali się nas i trzymali się z daleka, o tyle obecnie, gdyśmy powiedzieli im, w jakim celu jeździmy po tajdze, t. j., że szukamy złota, nie dawali nam spokoju. Starosta stał się bardzo gościnny. Widząc, że blagując na ten temat, zrobimy dużo dla siebie, opowiadaliśmy niestworzone rzeczy i obiecywaliśmy złote góry. Chcąc olśnić Jakutów jeszcze więcej, towarzysz mój dał jednemu storublowy banknot, by przyniósł wódki. Nim pisarz przyjechał, wszystkie serca jakuckie były po naszej stronie.

Gdy przyjechał pisarz i obejrzał nasze dokumenty, zawarowane prawa na otwieranie kopalni przez wyższe władze, gdyśmy mu powiedzieli jeszcze o prawach poszukiwaczy złota i zapowiedzieli, że będziemy Jakutów ścigali sądownie za napad, staliśmy się odrazu panami położenia.

Jakuci, którym pisarz tłómaczył wszystko, co wyczytał w naszych papierach i cośmy dodawali jeszcze od siebie, zaczęli nas przepraszać i tłomaczyć się tem, że przed kilkoma laty zatrzymali trzech ludzi, którzy okazali się państwowymi przestępcami, i za to otrzymali od gubernatora nagrodę.

O, psubraci, pomyślałem, kiedyście tacy, to trzeba was utrzymać

trochę jeszcze w tym strachu. Wiedziałem o tem, że trzech towarzyszów Jakuci wydali policyi w Jakucku, a ponieważ sami się przyznają, że to oni są tymi, trzeba ich ukarać. Zapytałem pisarza, jak daleko od nich do Jakucka. 70 wiorst – odpowiedział. Wiadomość, żeśmy tak blisko Jakucka po 8-iu dniach włóczęgi po tajdze, a dziewięciu od wyjazdu z miasta, niebardzo była przyjemna. Nie tracąc animuszu, mówiłem dalej pisarzowi: ponieważ jazda do Jakucka zabrałaby nam dużo czasu, którego mamy niewiele i w dodatku straciliśmy kilka godzin dzięki wam, zostawimy u was skargę do sądu za napad na drodze na dwóch członków z partyi poszukiwaczy złota. Skargę tę odeślecie do prokuratora do Jakucka, nam zaś dacie poświadczenie, że skargę taką złożyliśmy w urzędzie takiego to i takiego noslegu. Nie proście nas o zaniechanie tego, bo nic z tego nie wyjdzie. Darować wam teraz, to gotowiście urządzić i innym podobną historyę; radzimy jednak, żebyście tego nie robili, bo jak będzie więcej ludzi, to będą strzelali, myśląc, że chcecie ich obrabować.

Napisawszy ową skargę, zgodziliśmy sobie jednego Jakuta na przewodnika. Tak nam radzili sami Jakuci, by, jak powiadali, nie spotkały nas „nieprzyjemności“. Jakuci posiodłali nam konie, oddali wszystkie rzeczy, prosząc obejrzeć, czy są w porządku, i ruszyliśmy dalej, prowadzeni przez przewodnika. Jechaliśmy obecnie z pewnym komfortem, nocowaliśmy w domach jakuckich, jedliśmy dowoli, a przed nami szła wieść, że jadą poszukiwacze złota. Z jednej strony była to okoliczność wygodna, bo mieliśmy swobodny przejazd, z drugiej zaś baliśmy się, by nie za głośno było i by te wiadomości nie doszły do Jakucka za prędko. Przytem kosztowało nas za drogo utrzymanie godności stanu naszego. Parliśmy tedy naprzód, by jaknajprędzej wydobyć się z tych okolic i pozbyć się kosztownych przewodników.

Dojechawszy do rzeki Botamy (przypływ Leny), postanowiliśmy skończyć z Jakutami. Pomogła nam w tem następująca okoliczność: Jakuci, mieszkający nad tą rzeczką szykowali tratwy, by spławić je do Jakucka, i żaden nie chciał nas prowadzić po tajdze do rz. Olokmy zaraz, a dopiero po powrocie z Jakucka. Nie mając innego wyjścia, zgodziliśmy się, i zostawiwszy konie u nich, kupiliśmy łódeczkę z kory brzozowej, by pojechać na drugą stronę Leny i urządzić zapasy do podróży. Naprzeciwko ujścia Botamy leży sioło wielkie, w którem można dostać wszystkiego, i gdzie mieszka zasiedatiel. Otrzymawszy powyższe informacye od Jakutów, ruszyliśmy w drogę, prowadzeni aż do ujścia Botamy przez młodego Jakuta, dlatego, by nas nie napastowano, jak powiadał. Przyjechawszy do Leny, rozstaliśmy się z naszym ostatnim przewodnikiem, życząc i jemu i wszystkim jego współbraciom, żeby ich dyabli pobrali, przejechaliśmy na drugą stronę Leny, tylko nie do tego sioła, gdzie mieszkał zasiedatiel.

Wiadomości, które posiadał mój towarzysz o „przemyśle złotym“, wystarczyły by, by okłamać fachowca, a cóż dopiero pierwszego lepszego śmiertelnika. W miarę przebywania z nim zaznajomiłem się z masą terminów fachowych i pomagałem mu wedle sił w procederze blagi. To też i teraz, przepłynąwszy szczęśliwie przez Lenę i dojechawszy do pierwszej wsi, gdzie była stacya pocztowa, dzięki umiejętności naszej kłamania bez zająknienia, dostaliśmy z łatwością koni i łódkę pocztową, i pomknęliśmy, mając niby na widoku jedną z rzeczek, o której mimowoli opowiedział nam utrzymujący stacyę. Musieliśmy przejechać dwie stacye, by dobrać się do owych skarbów. Porządne napiwki „jamszczykom“ dodały lotności

koniom; jechaliśmy bardzo prędko, tak że tego samego dnia jeszcze, kiedy wyjechaliśmy z pierwszej stacyi pocztowej, zaopatrzeni w prowiant, przejechaliśmy z powrotem na „bezludny brzeg“ Leny, do ujścia rzeczki, w której miało się znajdować złoto.

Zmierzchało się już, gdyśmy się znaleźli sami. Jamszczycy, którzy nas przewozili przez Lenę, mieli chęć do „goszczenia“ z nami jaknajdłużej, lecz wobec zbliżającej się nocy, a więcej jeszcze niepogody, powrócili. Ledwie straciliśmy ich z oczu, zebraliśmy rzeczy, zdjęliśmy namiot (mieliśmy nocować tutaj) i ułożywszy wszystko do naszej „bierestianki“, ruszyliśmy naprzód.

Podróż pocztowemi łodziami podobała nam się bardzo, lecz wobec tego, że latem nikt nie podróżuje w ten sposób, przytem wobec telegrafu, przeprowadzonego do Jakucka, byłoby to narażenie się na pewną zgubę. Postanowiliśmy iść piechotą i w dodatku tak, by nas nikt nie widział. Szliśmy nocami, a w dzień wynosiliśmy się z łódką i całem bogactwem do tajgi; zaszywaliśmy się w najgęstsze miejsca i odpoczywaliśmy,

(D. c. n.) *St. Paliński.*

Porachunek z rewizyonistami.

I.

Tak trzeba nazwać tegoroczny, w Dreźnie odbyty, kongres socyalnej demokracyi niemieckiej...

Wprawdzie nie pierwszy to raz dążności, które można nazwać rewizyonistycznemi, stanowią przedmiot rozpraw na kongresach naszej bratniej partyi niemieckiej. Już za czasów prawa wyjątkowego, a nawet i przedtem, bywały nieraz w łonie jej ostre starcia, z powodu takich rzeczy, jak czynny udział w pracach parlamentu, jak przyjmowanie mandatów do komisyj parlamentarnych, jak wstąpienie w r. 1884 przedstawicieli frakcyi socyalistycznej do t. zw. „Seniorenkonwentu“, czyli stałej komisyi mężów zaufania wszystkich partyj, mającej na celu porozumiewanie się co do prawidłowego biegu spraw w parlamencie. Potem, po zniesieniu prawa wyjątkowego i ustąpieniu Bismarka, wybuchły z jednej strony gwałtowne zarzuty i obawy, że partya schodzi z czysto-rewolucyjnego stanowiska, z drugiej dały się słyszeć rady, żeby partya właśnie porzuciła stanowisko czystej negacyi i protestu i korzystając z „nowego kursu“ i „dobrej woli“ w polityce rządowej, przystąpiła do urzeczywistniania w parlamencie szeregu praktycznych reform. Z jednej strony — gwałtowni, lekkomyślni w swych zarzutach, anarchizujący „młodzi“, z drugiej — ostrożny, wytrawny i spokojny Vollmar, jego słynne mowy w sali Eldorado w Monachium w lecie 1891 r. Dwa pierwsze jawne kongresy po zniesieniu praw wyjątkowych, w Halli 1890 i w Erfurcie 1891 r., zajmowały się temi dwoma biegunowo przeciwnemi zjawiskami i załatwiły się z niemi, wykluczając „młodych“, uchwalając rezolucyę przeciw taktyce Vollmara. Zjazd koloński w r. 1893 potępił radę Bernsteina, żeby partya wzięła udział w wyborach do sejmu pruskiego, opartych na systemie trójklasowym; frankfurcki, w 1894, widział ostre wystąpienie całego zarządu partyjnego przeciw głosowaniu Vollmara i towarzyszy za budżetem bawarskim, poczem Bebel, niezadowolony z niedość ostrej, kompromisowej uchwały kongresu, wystąpił

w Berlinie z pamiętną mową w której narzekał na wzrastanie i wpływ żywiołów drobno-mieszczańskich w partyi, na niedostateczne uświadomienie socyalistyczne nowo zdobywanych zwolenników. W r. 1895, we Wrocławiu, próba „rewizyi“ (Schoenlank wówczas po raz pierwszy wypowiada to słowo i hasło) zasad partyi na polu agitacyi miejskiej, próba, na korzyść której pewne ustępstwa porobili nawet Bebel i Liebknecht, odrzucona zostaje przez większość z Kautsky'm na czele. Kongres w Hamburgu, w r. 1897, dopuszcza już udział w wyborach do sejmu pruskiego, a jednocześnie objawia się niechęć dla pomysłu Schippla, że socyalna demokracya także powinna dbać o to, aby siła zbrojna Niemiec nie była gorsza, niż sąsiadów... Tenże Schippel występuje w Stutgarcie, 1898 r., z ideami protekcyonistycznemi, które większość, prowadzona teoretycznie przez Kautsky'ego, odrzuca; w r. 1899, w Hanowerze, przedmiotem namiętnych napaści są znowu warunkowi zwolennicy militaryzmu, Schippel, Heine ze swą głośną mową na temat: „możemy uchwalać armaty, ale wzamian za prawa dla ludu!“ oraz broniący ich do pewnego stopnia Auer. Prócz tego już od kongresu sztutgarckiego każdy kongres zajmuje się Bernsteinem i jego rewizyą całej teoretycznej podstawy, zarówno jak praktycznej taktyki socyalnej demokracyi. Zjazd w Lubece, 1901 r., kończy się potępieniem tych prób i wezwaniem Bernsteina, aby zaniechał „jednostronnej krytyki partyi“, a zwrócił się więcej ku krytyce burżuazyi i kapitalizmu.

Jak widzimy, „rewizyonizm“ — jeśli pod tą nazwą rozumieć najogólniej odstępowanie od pierwotnej taktyki – nie jest niczem nowem w partyi niemieckiej. Zdawać by się mogło, że stał się on dla niej zjawiskiem normalnem: to znaczy, że oświadczywszy się kilkakrotnie za zachowaniem nadal dotychczasowej taktyki i programu, patrzy ona jednak spokojnie na działalność pewnej liczby ludzi, rozmyślających nad programem i taktyką, krytykujących niektóre ich strony, szukających nowych dróg. Jeśli jednak kongres drezdeński stał się nowym i niesłychanie gwałtownym sądem nad rewizyonistami, to pochodzi z dwóch przyczyn: z kolosalnego, niespodziewanego przyrostu głosów socyalistycznych przy ostatnich wyborach, oraz z wniosków, jakie z tego faktu wyprowadzili rewizyoniści.

Edward Bernstein mianowicie ogłosił natychmiast po wyborach, w lipcowym zeszycie „Socialistische Monatshefte“, artykuł, w którym stanowczo doradza frakcyi socyalistycznej w parlamencie, aby zażądała od innych stronnictw przyznania sobie urzędu jednego z wiceprezydentów. Wprawdzie wiceprezydentów (dwóch), tak samo jak prezesa, wybiera większość, i regulamin wcale nie nakazuje, żeby wszystkie, albo choćby silniejsze stronnictwa były w prezydyum reprezentowane; ale istnieje zwyczaj, że prezes wybierany jest z łona partyi liczebnie najsilniejszej (obecnie – centrum), wiceprezesi z łona dwóch partyj następujących pod względem liczebności. Otóż socyalna demokracya należy do liczby tych partyj już od r. 1895, a obecnie jest najsilniejszą w parlamencie partyą po centrum. To też już w r. 1895 i 1898 żądała ona od stronnictw większości przyznania sobie jednego z foteli wiceprezydyalnych. Stronnictwa te wówczas (przynajmniej pozornie) zgadzały się na zaspokojenie tego żądania, ale pod warunkiem, że wiceprezes-socyalista nie tylko będzie ściśle wykonywał przepisy regulaminu, co się rozumie samo przez się i na co się frakcya socyalno-demokratyczna z góry zgadzała, ale że spełniać będzie także obowiązki, które na członków prezydyum nakłada dotychczasowy zwyczaj, a mianowicie, że uda się z całem prezydyum na specyalną audyencyę do cesarza, żeby go za-

wiadomić o ukonstytuowaniu się parlamentu. Posłowie socyalistyczni obydwa razy warunek ten odrzucili i wiceprezydyum nie otrzymali. Otóż Bernstein domagał się koniecznie, aby tym razem poddali się wymaganej „formalności". Stanowisko wiceprezydenta, zdaniem jego, dać może realne korzyści, wobec których ta formalność jest drobnostką. Szczególniej pouczająca jest pod tym względem historya walki przeciw cłom; gdyby wtedy socyaliści mieli swego przedstawiciela w prezydyum, to zdaniem Bernsteina, nie było by było możliwem pogwałcenie praw mniejszości. Ostatnie wybory, wzmacniając socyalistów, osłabiły jeszcze bardziej stronnictwa liberalno-postępowo-burżuazyjne, mogące w pewnych warunkach dawać opór reakcyi; wobec tego socyaliści tembardziej muszą się starać zapewnić sobie to stanowisko obronne, które w dodatku będzie widomym symbolem ich siły i znaczenia.

Przewidując zarzut, że wizyta u cesarza sprzeciwia się zasadom demokratycznym i republikańskim, Bernstein twierdzi, że zapewne wyznawca takich zasad nie powinien brać udziału w uroczystościach, będących idealizacyą monarchii, ale że audyencya prezydyum parlamentu bynajmniej tem nie jest. „Niemiecka konstytucya związkowa — cytuję dosłownie — jest z pomiędzy wszystkich konstytucyj niemieckich pod względem swej genezy (!!) i treści najbardziej zbliżona do zasad republikańskich. Nie uznaje ona dziedzicznego prawa jakiejkolwiek dynastyi do nazywania ludu niemieckiego swoim ludem, nie zna „cesarza Niemiec", ani „cesarza Niemców"; oddaje tylko na mocy uchwał, powziętych w swoim czasie przez przedstawicielstwo narodu, pewne funkcye i godność „cesarza niemieckiego" — każdorazowemu posiadaczowi korony pruskiej. Bez względu na to, jakie prawa ma dynastya w Prusach, przedstawiciel jej, jako cesarz niemiecki, ma z punktu widzenia konstytucyjnego stanowisko nie wiele się różniące od prezydenta rzeczypospolitej; a tylko jako cesarz niemiecki otrzymuje on wizyty prezydyum parlamentu. Socyalista i demokrata nie przynosi sobie żadnej ujmy, jeśli jako przedstawiciel wybranego ciała prawodawczego rzeszy raz lub dwa razy na rok składa wizytę konstytucyjnemu prezesowi urzędu wykonawczego. Natomiast może się wiele przyczynić do zachowania podczas tych wizyt godności przedstawicielstwa ludu".

Cała prasa burżuazyjna, szczególniej liberalna, podchwyciła z radością ten artykuł. Zaczęło się znów wychwalanie Bernsteina za jego rozum i umiarkowanie. Wyrażano nadzieję, że w nowej frakcyi poselskiej, dzięki wyborowi znacznej ilości rewizyonistów, zwycięży wreszcie nowa proponowana przez niego taktyka nad nieprzejednanym doktryneryzmem starych „fanatyków". Zaznaczano przytem, że oczywiście większość nie na każdego wiceprezydenta z łona frakcyi socyalno-demokratycznej przystać będzie mogła: Singer był by niemożliwy, ponieważ stawiał opór rozporządzeniom prezydenta podczas obstrukcyi grudniowej, natomiast prędzej już Auer, a szczególniej podobaliby się większości — elegancki Heine i taktowny Vollmar.

Tymczasem Bebel, który omawiał wynik wyborów w „Neue Zeit", przeczytawszy rady Bernsteina, wyraził swe oburzenie na nie w dodatkowej notatce, która, jak zapewnia redakcya — z winy drukarni odbita została na pierwszej stronicy, rozstawionemi czcionkami, tak że wyglądała przeciwnikom na jakiś uroczysty ukaz „dyktatora partyi". Bebel pisał, że wobec takich propozycyj człowiek nabiera wstrętu do ostatnich sukcesów

wyborczych. Singer, pytany przez korespondenta wiedeńskiej „Arbeiterzeitung“, również wypowiedział się przeciw radzie Bernsteina.

Ujął się za tym ostatnim przedewszystkiem Vollmar, w mowie wypowiedzianej przed swoimi wiernymi wyborcami w Monachium. Protestował przeciw namiętnemu tonowi napaści na Bernsteina, ale zaznaczał, że w gruncie rzeczy sprawa wiceprezydyum jest podrzędnego znaczenia. że Bernstein poruszył ją w nieodpowiedniej chwili i w niezręczny sposób i że nie warto o nią tak bardzo się kłócić. Przeczył jednak stanowczo, żeby audyencya u cesarza miała być dworactwem albo poniżeniem; przedstawiciel partyi napewno umiałby się zachować z godnością, „i gdyby cesarz chciał dowiedzieć się prawdy, to mógłby ją usłyszeć od niego.“ Zresztą „nie jesteśmy przecie burżuazyjnymi republikanami, którzy nie widzą nic po za formą rządu; dla nas instytucye społeczne są jeszcze ważniejsze“; jeśli więc usuwamy się od wszelkich stosunków z cesarzami, to powinnibyśmy także unikać ich z „wybitnymi przedstawicielami tych ostatnich“(?). Bądźmy konsekwentni. Zdobycie wiceprezydentury byłoby rozszerzeniem wpływów i potęgi partyi; „mamy prawo i obowiązek wziąć udział w kierownictwie spraw i podjąć się związanej z tem odpowiedzialności“.

Zakotłowało się w partyi. Nie było chyba ani jednego organu partyjnego, ani jednego stowarzyszenia, któreby nie wypowiedziało się za lub przeciw poglądom i propozycyom Bernsteina i Vollmara. Trzeba stwierdzić, że znacznie przeważało oburzenie i potępienie, podsycane artykułami Bebla, Kautsky'ego, Mehringa. Bebel oświadczył, że teraz czas na ostateczny porachunek z rewizyonistami; dość już zamazywania różnic, które niewątpliwie między dwoma odłamami partyi istnieją i nigdy nie były głębszemi, niż obecnie; dość wzajemnego grania komedyi; dotychczas dwa odłamy nie rozumiały się czasami na punkcie socyalizmu — teraz, po wystąpieniach Bernsteina i Vollmara, zaczynają już widać nie rozumieć się i na punkcie demokracyi!

Przed samym kongresem Bebel wydrukował w „Neue Zeit“ obszerny artykuł, w którym dowodził, że ustrój państwowy nie jest dla partyi socyalistycznej bynajmniej rzeczą obojętną ani nawet drugorzędną, i wykazywał, o ile działalność partyi i, wogóle, walka klasy robotniczej byłaby łatwiejsza i skuteczniejsza, gdyby w Niemczech istniała rzeczpospolita, choćby bardzo umiarkowana. Oczywiście, obalił przy sposobności istotnie komiczne dowodzenie Bernsteina, że konstytucya rzeszy niemieckiej zbliżona jest do republikańskiej. Rzeczywiście, król pruski jest prezesem związku niemieckiego i jako taki ma tytuł cesarza, ale jakąż to rzecząpospolitą jest ten związek? Jest to związek dwudziestu kilku m o n a r c h ó w i trzech „wolnych miast“ z plutokratyczną konstytucyą. Cesarz niemiecki i król pruski jest jedną i tą samą osobą; jako jeden i drugi jest monarchą dziedzicznym; jako jeden i drugi dość zawinił wobec klasy robotniczej i dość ją naprowokował. — Gdybyśmy, mówi Bebel dalej, zgodzili się na warunek wizyty u cesarza, stronnictwa większości z pewnością by na tem nie poprzestały, tylko postawiłyby nam nowe warunki, konsekwentnie z tamtego wynikające. Nasz wiceprezes musiałby bywać i na innych przyjęciach dworskich, i to w śmiesznym stroju staroświeckim, pończochach i pluderkach — co już podchwyciły pisma humorystyczne do swych karykatur. Stronnictwo socyalistyczne, mając swego przedstawiciela w prezydyum, nie mogłoby już, jak dotychczas, wychodzić demonstracyjnie z sali posiedzeń w chwili, gdy prezydent i większość, podług zwyczaju, na początku i końcu sesyi, wydają okrzyk na

cześć cesarza. Jednem słowem partya musiałaby się wyrzec wszelkich demonstracyj antymonarchicznych. Wreszcie dowiódł Bebel, że urząd wiceprezydenta bynajmniej nie posiada tak wielkiego praktycznego znaczenia. Wiceprezydent sam przez się nie ma żadnej władzy, jest tylko chwilowym zastępcą prezesa, który go może w każdej chwili zastępstwa pozbawić, obejmując sam przewodnictwo; w chwilach zaś tak krytycznych, jakiemi były np. dni tłumienia obstrukcyi, każdy przewodniczący musi robić to, czego chce większość, inaczej zmusza go ona z łatwością do złożenia urzędu. Właśnie podczas walki o cła Singer był prezesem komisyi regulaminowej — i czuł się zmuszonym zrzec się tego stanowiska, na którem mógłby tylko być wykonawcą woli większości. Z wiceprezesem socyalistą najpewniej prędko skończyłoby się tak, że większość przy pierwszej sposobności dałaby mu votum nieufności i zmusiła do dymisyi. Rezultatem byłaby gruba kompromitacya partyi i naruszenie zasady republikańskiej bez żadnej nawet konkretnej korzyści.

Na samym kongresie rozpatrywano kwestyę wiceprezydentury w związku ze sprawą dalszej taktyki wogóle, i Bebel wypowiedział trzygodzinną gwałtowną mowę, z której przytaczamy najważniejszy, najbardziej charakterystyczny ustęp:

„Mógłże Bernstein popełnić większe głupstwo, niż w chwili powszechnego entuzyazmu w partyi z powodu zwycięstwa wyborczego, w chwili powszechnego przekonania, że teraz należy wyzyskać zwycięstwo, to znaczy przeć naprzód, nacierać ostrzej, dzięki powiększonym siłom przewyższyć dotychczasową działalność, w takiej chwili powiedzieć: chodźmy na posadzki dworskie, nie żenujmy się! I to w chwili, gdy mowy wrocławskie i esseńskie palą jeszcze policzki każdego socyal-demokraty! W chwili, gdy dla każdego myślącego człowieka coraz jaśniejszem się staje, co się tam w sferach wyższych przygotowuje, gdy mamy do czynienia z przedstawicielem władzy, który tyle razy głosił: w ostateczności mam żołnierzy, którzy muszą strzelać do ojców i braci! Czy Bernstein sądzi, że to wszystko znikło z pamięci robotników niemieckich? Czy sądzi, że ktokolwiek z nas wątpi o tem, że cała ta potęga na lądzie i morzu, pozostająca pod rozkazem tego człowieka, pewnego dnia przeciw nam zostanie zmobilizowana? Kto tego nie widzi i nie wie, ten poprostu niech przestanie bawić się w politykę!“

Cała mowa, a szczególniej ten ustęp, prawie co zdanie przerywane były frenetycznymi oklaskami.

Beblowi bezpośrednio odpowiedział Vollmar, jak zwykle, bardzo zręcznie, a mianowicie wykazywał, że ilekroć partya miała postawić jakiś krok nowy na polu czynnego udziału w życiu politycznem lub zdobywania postępów praktycznych, tyle razy były krzyki o zdradzie zasad i o przystosowywaniu się do społeczeństwa kapitalistycznego. Było tak, kiedy miano po raz pierwszy wstąpić z mandatami poselskimi do parlamentu, potem do komisyi; kiedy miano brać udział w wyborach do sejmu, do rad miejskich, głosować za poprawkami do praw asekuracyjnych i ochronnych. W podobny sposób potępiano zawieranie przez związki zawodowe umów taryfowych na dłuższy termin z kapitalistami. Bebel okropnie się oburzał na samą myśl odbywania wspólnych kongresów z reformatorami burżuazyjnymi w sprawach reform społecznych, a w parę lat potem sam brał udział w takim kongresie w Zurychu. W wielu państwach niemieckich posłowie musieli i muszą składać przysięgę na wierność konstytucyi monarchicznej; jednak socyaliści, choć część towarzyszy także oburzała

się na to, przysięgę tę spokojnie składają, bo inaczej nie mogliby być posłami, i każdy przecież rozumie, że tą czczą formalnością przymusową nie naruszają wcale swych republikańskich przekonań. Mówią wprawdzie. że ta formalność jest przymusowa, a przyjęcie audyencyi u cesarza przez wiceprezesa-socyalistę byłoby dobrowolne; ale tak nie jest, bo i w jednym i w drugim wypadku formalność jest warunkiem pełnienia funkcyi i w jednym i w drugim o funkcyę ubiega się dobrowolnie. Jeśli wreszcie socyalistyczni radcy miejscy w Berlinie noszą, na równi z innymi, łańcuch urzędowy z portretem króla Fryderyka Wilhelma III i łańcuch ten „nie pali im piersi“, to dlaczegoż strój dworski miałby palić socyalistę-wiceprezesa parlamentu? Zresztą, wniosek Bernsteina nie jest nowy; Auer, Vollmar i Grillenberger żądali już tego samego w 1895 i 1898 r.; czemuż więc dopiero teraz takie straszne oburzenie?

W sprawie wiceprezydentury zaznaczymy jeszcze, że Bernstein w swej mowie zapytał wprost Bebla: czy, gdyby stanowisko to nie było, jak Bebel sądzi, czczym zaszczytem, lecz rzeczywiście posiadało dużą wartość praktyczną, czy i wtedy wyrzekłby się tych korzyści dla partyi ze strachu przed formalnościami dworskiemi. Bebel na to pytanie nie udzielił żadnej odpowiedzi, twierdząc ze śmiechem, że przewodniczący na „prywatne rozmowy“ nie pozwala!... (D. n.)

Michał Luśnia.

V. zjazd Bundu.

Po rzezi kiszyniewskiej, po doświadczaniu w ciągu całego roku teroryzmu rządowego, przewyższającego wszystko, co na tem polu przez rząd dotychczas zostało zdziałane, teroryzmu, który w Wilnie uniemożebnił nie tylko „zbrojną demonstracyę“. niedawno przez Bund uchwaloną, ale zapobiegł jakiejkolwiek demonstracyi w d. 1-go maja – ciekawe było, co powie nowy zjazd Bundu. Otóż zjazd ten odbył się w połowie czerwca; sprawozdania dokładnego wprawdzie nigdzie nie podano, ale rezolucye, pomieszczone w „Arbeiterstimme“ i „Ostatnich wiadomościach“, dają nam o nich dostateczne pojęcie.

Jednym z ważniejszych punktów porządku dziennego zjazdu była oczywiście kwestya „pogromów“. Otóż co się tego tyczy, to musimy odrazu powiedzieć, że rezolucya zjazdu bundowskiego nie odpowiada bynajmniej temu, czego by się można było po niej spodziewać. Stwierdza ona najprzód, że rząd rosyjski zawsze gotów jest w walce z ruchem rewolucyjnym organizować pogromy, że zaś wśród narodu żydowskiego tylko proletaryat może im przeciwdziałać, wzywa z tego powodu członków organizacyi do przygotowywania oporu zbrojnego na wypadek powtórzenia się rozruchów. To jest część pierwsza uchwały; w drugiej zjazd poleca walkę z nacyonalistycznymi elementami żydowskimi, probującymi poróżnić proletaryat żydowski z obrońcami ludu i „wyraża swe przeświadczenie, że tylko wspólna walka proletaryuszy wszystkich narodowości zniszczy w zarodku warunki, z których wynikają fakty, podobne do kiszyniewskich.“

Otóż wiemy przecież dobrze, jaki był przebieg wypadków: niebezpieczeństwo, grożące całemu ruchowi robotniczemu ze strony rządu, który najwidoczniej miał zamiar wszędzie pobudzić ludność chrześciańską do mordowania żydów, zostało przez wszystkich odczute. Zarówno przez P. P. S., jak i przez rosyjskie i ukraińskie organizacye socyalistyczne, działające w miejscowościach, zamieszkałych przez Żydów, wydane zostały liczne odezwy, wzywające do obrony ludności żydowskiej i do walki z mordercami, ale „wspólnej walki proletaryuszy wszystkich narodowości“ nigdzie nie było. I nie mogło jej być, dla tej prostej przyczyny, że Bund dobrowolnie oddzielił się od zorganizowanego proletaryatu polskiego, od socyalistów litewskich i ukraińskich, potępiając ich cele i dążenia, a w wielu wypadkach, przynajmniej o ile się to nas tyczy, występując wrogo przeciwko ich organizacyi. Jeżeli zatem wśród Bundu istnieje przeświadczenie o konieczności „wspólnej walki proletaryuszy wszystkich narodowości“, to dziwić się tylko należy, dlaczego uczestnikom zjazdu nie przyszło na myśl zastanowić się nad tem, od czego taka wspólna walka zależy. W każdym zaś razie musimy stwierdzić, że, o ile zjazd Bundu mamy uważać za wyraz opinii całej organizacyi, pogromy ani na jotę nie zmieniły poglądów Bundu na jego stosunek do proletaryatu chrześciańskiego.

Co się innych uchwał zjazdu tyczy, to zaznaczamy najprzód sprawy mniej bezpośrednio nas się tyczące. Więc odrzucono uchwałę konferencyi, która polecała „zorganizowane akty zemsty“, jako odpowiedź na okrucieństwa rządowe, uznając takie akty za jedną z form teroru i powołując się na dawniejszą uchwałę, potępiającą teror, dalej wezwano do walki z szowinizmem „we wszystkich jego kierunkach i odcieniach“, wreszcie rozstrzygnięto parę kwestyj organizacyjnych. Zaś na pierwszem miejscu obrad zjazdowych stała kwestya stosunku Bundu do Socyalno Demokratycznej partyi Rosyi, i w tej sprawie przyjęto uchwałę, która ma być przedstawiona najbliższemu zjazdowi tej partyi i powinna służyć za podstawę przy omawianiu kwestyi stosunku Bundu do partyi.

Według tej rezolucyi Bund stanowi federacyjną część partyi, uznaje jej program i poddaje się uchwałom zjazdów ogólno-partyjnych, z wyjątkiem określenia jego stosunku do partyi, które może być zmienione tylko za zgodą obu stron. Otóż stosunek ten wygląda tak, że Bund ma swoje zjazdy, swój komitet centralny, bez którego zgody partya nie może komunikować się z komitetami Bundu, że socyaliści rosyjscy lub inni, należący do partyi, nie mogą zwracać się do proletaryatu żydowskiego bez zgody na to K. C. Bundu, i zjazdy partyjne nie mogą znosić uchwał zjazdów Bundu, opartych na niniejszej rezolucyi i że Bund może posiadać wydawnictwa, nawet nie żydowskie i wchodzić w stosunki z organizacyami, nie należącemi do partyi. Postanowiono wreszcie znieść uchwałę zjazdu poprzedniego, zabraniającą w pewnych warunkach tworzyć komitety Bundu w miastach Rosyi południowej

Z powodu tych uchwał wywiązała się ciekawa polemika między organami Bundu, a soc.-dem. „Iskrą“, redagowaną przez Plechanowa i paru jego towarzyszy. „Iskra“ (Nr. 46) zarzuciła Bundowi, że chce „stworzyć samodzielną nacyonalną partyę“, gorzej jeszcze, bo, zdaniem „Iskry“, „kto przyjął punkt widzenia nacyonalistów, ten w naturalnym rozwoju dochodzi do chęci otoczenia murem chińskim swego proletaryatu i swego narodowego ruchu robotniczego... ten niszczy wielkie przykazanie zbliżania i łączenia proletaryatu wszystkich narodowości, ras, języków.“ Tworzenie komitetów w t. zw. Rosyi południowej jest „wyzwaniem, rzuconem

towarzyszom południowym". Na to odpowiadają O. W., że „Iskra" chce wyzyskać słabe strony organizacyi socyalnych demokratów rosyjskich (t. j. ich rozbicie na luźne komitety), by przeprowadzić swój arakczejewowski plan organizacyi (Arakczejew, twórca wojskowych kolonij rolnych, odznaczał się srogością i despotyzmem, który wywołał nawet wśród żołnierzy-rolników bunt). Dla nas ten spór wielkiego znaczenia nie ma. Dopóki Bund zakładał komitety tylko na Litwie i w Królestwie, wszystko, zdaniem „Iskry", było w porządku. Nam to nawet zarzucano wówczas, że „rozdrabiamy siły proletaryatu" i oddzielamy murem chińskim robotników Polaków od Rosyan (t. j. od bundowców, gdyż organizacya P. P. S. w żadnem miejscu nie styka się z organizacyami czysto rosyjskiemi), ale gdy Bund sięgnął do południa, gdzie działa rosyjska S. D., wtedy wznosi się krzyk „wara!" i wszystkie te okropności. o które nas dawniej posądzano, przypisywane są obecnie Bundowi. Nie możemy też brać bardzo na seryo wojowniczego nastroju Bundu względem rosyjskiej S. D., dopóki bowiem bundowcy stoją na stanowisku całości i potęgi Rosyi, dopóty nie możemy przypisywać poważnego znaczenia ich sporom z towarzyszami rosyjskimi.

* * *

Pisaliśmy nieraz o tem, że Bund postępowaniem swem wywołuje zarzut szerzenia rusyfikacyi. Przeciwko temu zarzutowi Bund protestował, nawet bardzo namiętnie, nazywając go „oszczerstwem", „insynuacyą" i t. p. Protesty te przyjmowaliśmy zawsze z wielką radością, gdyż stanowiły one dla nas dowód, że 1) Bund nie nosi się wcale z zamiarami rusyfikacyjnymi; że 2) zdaje sobie z tego sprawę, jak zbrodniczą i niebezpieczną byłaby podobna polityka. Tymczasem otrzymujemy w tej chwili dokument, który świadczy, na jak nizkim poziomie znajduje się jeszcze świadomość polityczna w pewnych kołach bundowców. Oto przysłana nam została odezwa hektografowana, podpisana przez „Siedlecką Socyaldemokratyczną organizacyę Bundu". i napisana w języku polskim oraz r o s y j s k i m. Odezwa zatytułowana jest „Do wszystkich" i „Ko wsiemu narodu", przeznaczeniem jej – pobudzić ludność do obchodu święta majowego. Otóż zapytujemy tu, do kogo Bund zwraca się po rosyjsku w Siedlcach? Czy do urzędników rosyjskich. garnizonu, fijołów i policyi, gdyż to są jedyne warstwy, mówiące po rosyjsku w tem mieście! Wzgląd na unitów, bagnetem i nahajką nawróconych przed 28 laty na prawosławie, nie mógł tu grać roli, gdyż ci w domu używają języka ukraińskiego lub polskiego, a wszystko, co jest rosyjskie, odpychają ze wstrętem. Żydzi siedleccy używają polskiego lub żargonu, Polacy – oczywiście tylko polskiego języka. Rozstrzyga tu zatem chyba przyzwyczajenie do języka rosyjskiego i niezdawanie sobie sprawy z całej szkodliwości używania go tam, gdzie on nie jest koniecznie potrzebny. Powiedzieliśmy już, że uznajemy zupełnie potrzebę zwracania się do każdego w tej mowie, która najbardziej mu jest zrozumiała, ale szerzenie bez potrzeby odezw rosyjskich w kraju, rusyfikowanym gwałtownie przez „zwierzęcy carat", jak się wyraża owa siedlecka organizacya Bundu, jest rzeczą w najwyższym stopniu niewłaściwą dla stronnictwa, które chce zwalczać rząd i wystawione jest na najsroższe prześladowanie właśnie tego rządu. A po strasznych zajściach kiszyniowskich nadszedł chyba czas, by bundowcy wyleczyli się ze swego ślepego ciążenia ku Rosyi! *A. W.*

SPRAWOZDANIA.

VII.

Dr. Edward Dawid. Dwie rozprawki o stosunku socyalizmu do rolnictwa. Spolszczył Dr. Władysław Gumplowicz. Lwów, 1904. Polskie Towarzystwo Nakładowe.

Te dwie rozprawki są to: 1) wstęp do głośnego dziś dzieła tow. Davida „Socialismus und Landwirthschaft“, zawierający krótki rys historyczny poglądów socyalnej demokracyi niemieckiej na kwestyę agrarną; 2) odczyt Davida, wygłoszony w Wiedniu i wydrukowany w tamtejszym miesięczniku tow. Pernerstorfera p. t. „Deutsche Worte“; odczyt ten jest dobrem streszczeniem własnego dzieła przez samego autora i dlatego może być istotnie pożyteczny dla „licznych towarzyszy polskich, dla których — jak mówi tłómacz w przedmowie — dzieło tow. Davida jest nieprzystępnem bądź to wskutek nieznajomości języka niemieckiego, bądź w braku czasu, bądź ze względu na cenę.“ Tłómacz podał też na końcu odpowiedź prelegenta na stawiane mu podczas dyskusyi zarzuty; wdzięczni mu za to jesteśmy, ponieważ David w odpowiedzi tej przyznaje — wbrew tendencyi całego swego dzieła, — że w ogólności „wielka gospodarka posiada w porównaniu z drobną pewne, choć szczupłe, korzyści techniczne (str. 117). O ile sobie przypominamy, w samem dziele podobnego przyznania niema, a jest ono zasadniczo ważne.

Ale nie będziemy dziś wchodzili w roztrząsanie poglądów Davida; wkrótce uczynimy to w osobnym artykule, gdzie zastanowimy się także nad tem, o ile to, co w nich jest słusznem, może lub nie może wpłynąć na postawienie kwestyi agrarnej w programie i agitacyi.

Tu powiemy tylko parę słów o zarysie historyi poglądów socyalistycznych na kwestyę agrarną, podanym przez Davida w rozprawce pierwszej. Nie możemy oczywiście robić autorowi zarzutu z tego, że zarys ten historyczny zaczął dopiero od Marksa; jednakowoż sięgnięcie myślą nieco wstecz pozwoliłoby stwierdzić rzecz, bynajmniej nie obojętną dla genezy poglądów Davida, przedstawianych jako ostatnie słowo postępu w nauce, a mianowicie, że już ideologowie społeczni rewolucyi francuskiej stawiali ideał podziału gruntów na kawałki, wystarczające dla wyżywienia jednej rodziny*), że ideał ten podniesiono w ruchu chartystów angielskich i że próba urzeczywistnienia gó, rozpoczęta z inicyatywy O'Connora, upadła, nie lepiej od prób komunizmu rolnego, z powodu upadku których tak tryumfują zarówno autor, jak — w osobnym przypisku — tłómacz (str. 14). Poprzednicy zaś socyalizmu naukowego, wielcy utopiści pierwszej połowy XIX w., stawiali program gospodarki rolnej zrzeszonej na większych obszarach. Marks i wszystkie partye socyalistyczne, które były pod jego wpływem, stawiały takiż program, zaznaczając oczywiście, że o przymusowem uspołecznieniu włościanina mowy niema, że przeciwnie socyalistyczny rząd różnymi sposobami ulży jego doli. David przedstawia poglądy marksistyczne na kwestyę agrarną bardzo jednostronnie. Nie podkreśla właśnie tego ostatniego szczegółu. Dalej, nie wspomina wcale o tem, że Marks i marksiści przewidywali i przepowiadali upadek chłopskiego samodzielnego gospodarstwa nietylko wskutek wywłaszczania drobnych właścicieli i zaokrąglania się gospodarstw większych i wielkich, ale także i wskutek ciągłego rozdrabniania się działków chłopskich, co Liebknecht w swej, przez Davida omawianej, broszurze „Die Grund

*) Ob. np. Lichtenbergera „Le Socialisme et la Révolution française“. Aubard „Histoire politique de la Révol. française.“

und Bodenfrage" wyraźnie zaznacza. I wreszcie, co najważniejsza, powstanie myśli o nieuniknionym postępie koncentracyi rolnej i upadku włościanina David stale i zasadniczo kładzie na karb jednostronności Marksa i marksistów, którzy teoryę, zbudowaną, na podstawie badania przemysłu, lekkomyślnie, po doktrynersku, a priori przenieśli na rolnictwo. Tymczasem w rzeczywistości wszystkie te środki, za pomocą których drobne włościaństwo broni się od upadku i stara się dotrzymać kroku rozwojowi technicznemu, mianowicie kooperatywy, towarzystwa kredytowe, pewien wzrost oświaty, przejście do intensywnej kultury ogrodniczej — wszystko to pojawiło się dopiero w ciągu mniej więcej ostatnich lat 20—25, a w czasach pisania „Kapitału", kongresów Międzynarodówki i początków ruchu socyalistycznego w Niemczech wtargnięcie kapitalizmu do rolnictwa, zwiększona potrzeba pieniędzy na zakupy, podatki i nakłady, a jednocześnie — ciemnota i rutyna chłopa istotnie pozwalały przypuszczać jego dość rychły upadek. Później zaś Kautsky w swej „Agrarfrage" liczył się z nowymi faktami i odpowiednio zmodyfikował teoryę. Ale David taką czuje niechęć do Kautsky'ego, że teoryi jego nie streszcza objektywnie, tylko ją karykaturuje. Oto zarzuty, chyba dość ważne, które stawiamy Davidowi, jako historykowi doktryny.

Tłomaczowi — jakichś ważniejszych zarzutów naogół postawić nie możemy; wywiązał się ze swego zadania sumiennie. Co najwyżej zauważylibyśmy, ze przymiotnik od Hesya jest heski, nie heseński. Z drugiej warto było zaznaczyć, że manifest genewski J. F. Beckera z r. 1869 do ludności rolniczej wyszedł i po polsku (jeśli mnie pamięć nie myli — w tłomaczeniu Limanowskiego).

Polskie Towarzystwo Nakładowe zapowiada rychłe wydanie całego dzieła Davida w opracowaniu tow. Gumplowicza, a jednocześnie zamierza wydać krytykę tego dzieła przez Kautsky'ego. Przyklaskując temu zamiarowi, wyrazilibyśmy życzenie, aby wraz z krytyką Kautsky'ego wydało też i drugą krytykę dzieła Davida, pomieszczoną również w „Die Neue Zeit" (Nr 41—43), bardzo rzeczową i pouczającą — tow. Ludwika Quessela.

Ale dlaczego Polskie Towarzystwo Nakładowe nie zamierza wydać jednocześnie samej „Kwestyi agrarnej" Karola Kautsky'ego? Dzieło to, wydane w r. 1898, wcale nie jest przestarzałe; a dopiero zestawienie tych dwóch dzieł dać może mniej więcej dokładny obraz poglądów socyalistycznych na rozwój nowoczesny rolnictwa. *M. L.*

VIII.

Rosya w przededniu XX stulecia. Z czwartego wydania oryginału rosyjskiego przełożył ***. Spółka wydawnicza polska w Krakowie 1902 r.

Oryginał tego dziełka wyszedł poraz pierwszy w r. 1900 w Berlinie. Autorem jej, ukrywającym się pod pseudonimem „Patryoty rosyjskiego" jest Borys Czyczeryn, sędziwy uczony rosyjski, autor cennych dzieł prawniczych. Wymieniając nazwisko autora, nie popełniamy żadnej niedyskrecyi, albowiem przestało ono być oddawna tajemnicą w rosyjskiej prasie nielegalnej. Zresztą i wydawca tłómaczenia polskiego dość wyraźnie daje do zrozumienia w przedmowie, że autorem broszury jest Czyczeryn.

B. Czyczeryn jest zupełnie wyjątkowym okazem konserwatysty rosyjskiego, potępiającego politykę zaborczą Rosyi. To zdobyło mu sympatyę naszego obozu stańczykowskiego, który od kilku lat usiłuje wmówić polskiej opinii publicznej, jakoby w Rosyi Czyczeryn nie był najzupełniej osamotnioną jednostką, jakoby istniał tam jakiś „czyczerynowski kierunek myśli" i t. d. Konserwatyzm Czyczeryna pod wieloma względami, jego religijność, wreszcie fanatyczna nienawiść

do rewolucyonistów – wszystko to nie może nie pociągać stańczyków, którzy muszą też podzielać jego umiarkowane dążności konstytucyjne.

Obecnie Czyczeryn pisze: „Jeżeli Rosya ma dojrzeć i rozwijać się, to muszą absolutne rządy być zamienione na konstytucyjne i dokończoną musi być budowa, do której Aleksander II położył kamień węgielny.“ Ale to stanowisko konstytucyonalistyczne Czyczeryna jest względnie nowem. W końcu szóstego i na początku siódmego dziesięciolecia wieku ubiegłego Czyczeryn był zasadniczym przeciwnikiem niektórych reform Aleksandra II, które zostały wprowadzone w życie, ostro napadał na Herzena i agitacyę jego przyjaciół, uważając kierunek konstytucyonalistyczny za zgubny dla Rosyi. W r. 1881 w specyalnym memoryale wystąpił przeciwko natychmiastowemu nadaniu Rosyi konstytucyi, uznając za możliwy jedynie doradczy głos przedstawicieli społeczeństwa w sprawach ustawodawczych. Dalszy jednak bieg życia Rosyi zmusił Czyczeryna do radykalnej zmiany przekonań na tym punkcie. Obecnie występuje on jako stanowczy, choć umiarkowany konstytucyonalista i zwolennik reform Aleksandra II. „Jedynie tylko przejście do rządów konstytucyjnych – pisze Czyczeryn – może zapewnić monarchii ład i prawny bieg rzeczy. Tak jest, a nie inaczej, choć temu zaprzeczą z oburzeniem zwolennicy absolutyzmu, choć na różne nuty śpiewać kto zechce, że naród rosyjski wierzy w swego cara, jak w Boga. Możnaby zauważyć, że samowładztwo stworzyło Rosyę, że się stało tradycyą, i że bez niego kraj się rozpadnie; można też przyznać, że absolutyzm ma znaczenie historyczne, tak w Rosyi, jak u ludów Wschodu, ale potrzebny jest tam, gdzie dopiero naród się rodzi, gdzie powstaje. Tam zaś, gdzie ludność zaczyna się już rozwijać, tam absolutyzm jest tylko przeszkodą w kulturze i dojrzewaniu“ (str. 57).

Z tego punktu widzenia Czyczeryn daje pogląd na dzieje Rosyi w XIX stuleciu, usiłując przy każdej sposobności zwalić winę reakcyi w Rosyi na barki rewolucyonistów. I ta tendencya odbiera prawie wszelką wartość bądź co bądź ciekawej broszurze. Jakież bowiem pojęcie może sobie wyrobić czytelnik, spotykając się na każdym kroku z takimi np. ustępami: „Głównymi agitatorami chwili byli Czernyszewski, Dobroliubow i kilku im podobnych; porównać ich można do much, zanieczyszczających nowe lustro, z tą jednak różnicą, że te plamy nader łatwo się ściera, podczas gdy trucizna, podawana przez pisma, coraz większe czyniła zniszczenie.“ Bohaterów „Narodnej Woli“ Czyczeryn stale nazywa „złoczyńcami“, mówi o „czynie bezecnym 1 marca 1881 r.“, nawet Herzena oskarża o popieranie „zdrożności“ i t. d. Pomijając już etyczną wartość wszystkich tych epitetów, niepodobna nie podnieść historycznego fałszu, tkwiącego we wniosku Czyczeryna, jakoby „nihiliści przerwali tok tych (liberalnych) zamiarów okrutnem morderstwem cara Aleksandra II.*)

W oryginalny sposób przedstawia sobie Czyczeryn konstytucyę rosyjską. Pisze on: „Nie mamy na myśli zastąpienia absolutyzmu przez parlamentaryzm, do którego potrzeba politycznego wykształcenia doświadczonych stronnictw, jakiego społeczeństwo rosyjskie nie posiada jeszcze. Daleko prostszem jest rozwiązanie: należy ograniczyć władzę absolutną i oswobodzić monarchę od poniżających wpływów biurokracyi. Wystarczy ku temu powołanie do życia czyli utworzenie ciała, złożonego z wysłanników ziemstw gubernialnych i nadanie mu mocy orzekania o prawodawstwie i o budżetach. Po nad niemi stanąłby senat... Innej łamigłówki nie potrzeba: to stanowiłoby konstytucyę“ (str. 58). Ale i takiej konstytncyi Czyczeryn nie spodziewa się ani w bliższej, ani nawet w dalszej przyszłości: „Zaburzenia młodzieży i propaganda socyalistyczna mogą

*) Patrz broszury wydane przez „Fundusz Wolnej Prasy rosyjskiej“ w Londynie: „Konstytucya Loris-Melikowa“ i „Czego uczy konstytucya Loris-Melikowa.“

tylko wzmocnić reakcyę. Apatyczne i pokorne społeczeństwo rosyjskie nie jest usposobione do energicznych czynów, ani do żadnej inicyatywy; klasy wyższe zniszczone, a średnie pogrążone w głębokiej nieświadomości.“ Zdaje się, że oczekuje on wejścia Rosyi na drogę konstytucyjną od jakiejś katastrofy zewnętrznej — wojny np.

Na ogół biorąc, broszura Czyczeryna nie zasługiwała na wydanie w tłomaczeniu polskiem. Poglądy, w niej wypowiedziane, są prywatną własnością jej autora, i nikt z pomiędzy konserwatystów rosyjskich ich nie podziela. A wobec tego przestają one być ciekawymi, jakimi byłyby, gdyby reprezentowały opinię bodaj garstki ludzi, posiadających wpływ jakiś.

Tłomaczenie jest dość niedbałe. Dokonano go zresztą, jak się zdaje, nie z oryginału rosyjskiego, tylko z przekładu niemieckiego. Wskazywałaby na to błędna pisownia imion własnych (np. Czerniszewski, Elenew). „Pałac Apraksynów“ nie jest żadnym „pałacem“, jak chce tłómacz (str. 17), ale zwykłą halą targową. *St. O.*

Z PRASY.

W N-rze 4 „Przedświtu“ poddaliśmy krytyce działalność Komisyi Nadzorczej Skarbu Narodowego, przyczem wypowiadaliśmy zdziwienie, że ostatnie sprawozdanie K. N. było trzymane w tonie zupełnie nie licującym z powagą instytucyi, do której, obok zdecydowanych narodowych demokratów, należą przecież ludzie przyzwoici i zasługujący na szacunek. Obecnie jeden z tych właśnie członków K. N., dr. H. Gierszyński, ogłasza list otwarty, rzucający jasne światło na charakter działalności narodowo-demokratycznej większości K. N. Żałujemy mocno, że brak miejsca nie pozwala nam podać listu dr. Gierszyńskiego w całości. Zamieszczamy wyjątki najważniejsze.

Jak wiadomo, po dojściu funduszu skarbu do 100.000 franków $^2/_3$ odsetek jego stało się rozporządzalnemi.

„Po te odsetki — pisze dr. G. — zgłosiła się Liga Narodowa na podstawie § 22 Ustawy, który brzmi:

„§ 22. Użytkować z funduszów Skarbu Narodowego może jedynie organizacya polityczna, uosabiająca w sobie ruch narodowy i kierująca nim *de facto*, to jest zajmująca w życiu politycznem narodu stanowisko podobne do organizacyi Komitetu Centralnego w 1862 r. Po stwierdzeniu jej kwalifikacyi ze strony Komisyi Nadzorczej, będzie miała prawo podnosić $^2/_3$ procentów rocznych i rozporządzać niemi bez kontroli“.

Chociaż zarząd Ligi Narodowej daleko nie dorósł do stanowiska Komitetu Centralnego z roku 1862, jednak ze względu, że był świeżo po przebytej rewolucyi wewnętrznej, że otwierało się przed nim obszerne pole pracy na niwie narodowej, że do tej pracy potrzeba było zasiłków pieniężnych, głosowałem ze spokojnem sumieniem za udzielaniem odsetek z funduszów skarbowych Lidze narodowej. Głosowałem także za tem w latach następnych 1897 i 8. Dopiero w r. 1899, kiedy reprezentanci Ligi Narodowej zdemaskowali się, wziąwszy sobie za wzór cnót politycznych — Prusaków, kiedy skom-

promitowali narodowość polską, występując ze względów egoistycznej i oportunistycznej polityki przeciw: Litwinom, Rusinom, Żydom, ludowcom i socyalistom, odsądzając ludowców od rozumu, a socyalistów od patryotyzmu i polskości, kiedy związali się na wychodźtwie z najreakcyjniejszą grupą, która, doprowadziwszy szkołę batignolską do upadku, opanowała dzięki łatwowierności ś. p. Henryka Bukowskiego Muzeum raperswylskie, aby w niem taką samą tandetną gospodarkę zaprowadzić, kiedy się więc sprzeniewierzyli nieprzedawnionym nigdy hasłom demokratycznym, które w 1863 r. pod jednym sztandarem powstańczym złączyły wszystkie żywioły, zamieszkujące dawne ziemie Rzeczypospolitej, wtedy sumienie moje nie pozwoliło mi już głosować za daniem zapomogi z funduszów Skarbu narodowego kierownikom Ligi Narodowej. Opinię moją w tym względzie podzielał ś. p. Henryk Bukowski. I on, jako członek-zastępca głosował przeciw udzieleniu zapomogi kierownikom Ligi Narodowej, a z nim drugi członek-zastępca ob. dr. Adam ze Lwowa.“

Klice narodowo-demokratycznej dr. Gierszyński był bardzo niedogodny w K. Nadzorczej skarbu, jako człowiek powszechnie znany z nieposzlakowanej uczciwości, niezłomnego patryotyzmu i zasad szczerze demokratycznych, jako człowiek, którego, jednem słowem, nie można było ogłosić ani za Żyda, ani za ugodowca, ani za moskalofila, jak to ci panowie ze swymi przeciwnikami zwykle robią. Postanowili go więc wygryźć z K. Nadzorczej za pomocą właściwych im sztuczek, intryg, plotek, drukowanych i niedrukowanych paszkwilów i t. d. Między innemi i w „Przeglądzie Wszechpolskim“ zjawiła się osobista napaść na zacnego obywatela. Dr. Gierszyński tak odpowiada na tę wycieczkę:

„Osobistych celów nie mam żadnych. Przed 10 laty wybrały mnie na członka komisyi nadzorczej Towarzystwa szwajcarskie. Dziś wiele z tych Towarzystw nie istnieje, bo członkowie powymierali, lub rozproszyli się po świecie. Odzywam się więc do całego społeczeństwa polskiego, do prasy, z wyjątkiem narodowo-demokratycznej, jako stronniczej. Jeżeli poważne głosy odezwą się, że nie mam kwalifikacyi na członka komisyi skarbowej, to z chęcią się usunę. Paru kolegów z komisyi zaproponowało mi w roku zeszłym dymisyę, ze względu na różnicę zdań w rozporządzaniu odsetkami Skarbu narodowego na rzecz Ligi „narodowo-demokratycznej“ i ze względu, że nie potępiałem nigdy socyalistów, ani wtedy, kiedy to dzisiejsi kierownicy Ligi „narodowo-demokratycznej“ prezydowali na ich zebraniach, ani później, kiedy uznali dla siebie korzystniej przeciw dawniejszym towarzyszom wrogo występować. Nie odsądzałem nigdy socyalistów od patryotyzmu i polskości. Wierzę, że więcej pragną niepodległości Polski od wielu dzisiejszych sprzymierzeńców „narodowo-demokratycznych“. Na dymisyę chętniebym się zgodził, gdyż podróże do Rapperswylu są dla mnie bardzo uciążliwe, raz ze względu na stratę czasu, ważną w mej profesyi, powtóre na stratę pieniężną, bo jeżdżę zwykle własnym kosztem, nie pobierając nigdy z żadnych funduszów publicznych zapomóg na moje podróże, ale poczucie obowiązku nakazywało mi nadal na stanowisku dozorcy Skarbu narodowego pozostać. Od tego obowiązku uwolnić mnie może opinia publiczna rodaków, do których się odwołuję.

Zestawiając wszystko, co wypowiedziałem, z treścią naczelnego artykułu „Przeglądu wszechpolskiego“, nie trudno wyciągnąć wniosek, że mającym odpowiednie dane i odpowiednie kwalifikacye na członka komisyi nadzorczej Skarbu narodowego jest ten, kto bez wahania zgadza się na oddawanie pieniędzy publicznych kierownikom Ligi. To dopiero panie polityk! to dopiero dyplomata! to dopiero rozumny i zasłużony „faktycznie powstaniowy wychodźca“! Inni niech się zadowolnią, jeżeli im się choć zostawi miano uczciwych ludzi, przy braku wszelkich innych zasług i kwalifikacyj.

Szanowni i mądrzy naczelnicy Ligi zapominają o tem, że na Skarb narodowy dawały wszystkie części składowe społeczeństwa polskiego: dawali chłopi, dawali robotnicy miejscy (przez moje ręce), dawali Żydzi, dawała szlachta. Czy słusznem jest więc, ażeby Skarb narodowy stał się własnością jednego, znanego ze swej partyjnej wyłączności stronnictwa? Mówię własnością, bo głos kierowników Ligi wyraźnie opiewa (str. 566 numer sierpniowy „Przeglądu wszechpolskiego“): „niema mowy o poszukiwaniu kandydatów na członków komisyi nadzorczej z zaboru rosyjskiego poza kadrami Ligi“. A kto jest Liga, wszyscy wiemy. Z czynów swoich aż nadto dała się poznać. Skarb narodowy przestanie być, niestety, Skarbem narodowym, a stanie się przybocznym funduszem Ligi, z którego czerpać będą rozmaite, wiecznie „dziurawe worki“, należące do mających wszelkie „dane i odpowiednie kwalifikacye“. Czy społeczeństwo polskie okaże tyle niedołęstwa, że pozwoli skarłowacić taką instytucyę jak Skarb narodowy, która założoną przecież została na pięknych podstawach dla korzyści całego społeczeństwa?

Kończąc, zmuszony jestem odpowiedzieć i na jeden pokątny zarzut. Od 3 lat pewne osobistości, wiszące przy rozmaitych szaflikach, rozsiewają wieści, jakobym występował przeciw instytucyi Skarbu narodowego. W tem tyle jest prawdy, ileby było w twierdzeniu, że ktoś, oburzający się na przykład na złą konduitę księdza, bluźni przeciw Bogu i religii. Publicznie twierdzę, że Skarb narodowy nie został założony dla jednej partyi, ale dla całego narodu polskiego. Mamy organa niezależne tak w Ameryce, jak i w Europie. Niech się te wypowiedzą póki czas w tej palącej kwestyi. Podpisywałem przez lat 9 odezwy, wzywające do składek na Skarb narodowy. Niektóre z nich sam redagowałem, nie chcę więc nadal nosić na sobie odpowiedzialności za dalsze losy Skarbu narodowego, jeżeli opinia publiczna mego zapatrywania nie potwierdzi“.

Ciężka to i przykra rzecz obcowanie w K. N. z kliką narodowo-demokratyczną — ani słowa, ale pozostawienie na łaskę i niełaskę tej kliki znacznych bądź co bądź funduszów nie byłoby wskazanem. I to tem bardziej, że „Liga Narodowa“ tak szybko dąży do ostatecznego zlania się ze stańczykieryą ku wielkiemu przerażeniu różnych Scriptorów, bojących się konkurencyi narodowych demokratów, że już wkrótce sama chyba zrozumie, jak nieprzyzwoitem stanie się zwracanie się z jej strony do Skarbu Narodowego. Będzie to zresztą dla niej zupełnie zbyteczne, bo już niedalekim jest ten czas, kiedy na usługi „Ligi Narodowej“ niewątpliwie otworzą się inne kasy, mianowicie te, z których obecnie korzystają tacy Scriptorowie i t. p. osobistości...

Z KRAJU I O KRAJU.

Bankructwo Róży Luxemburg w Poznaniu. Polsko-niemiecki wiec socyalistyczny w Poznaniu. Odrzucenie rezolucyi socyalhakatystycznej. Skonstatowanie szalbierstwa. Pierwsza konferencya żydowska P. P. S.

Debata polska na zjeździe niemieckiej socyalnej demokracyi w Dreźnie stała się przedmiotem rozpraw zebrania socyalno-demokratycznego towarzystwa wyborczego poznańskiego. Zaznaczyć trzeba, że stowarzyszenie to składa się z polskich i niemieckich towarzyszy, należących do partyi niemieckiej. Do tej pory przywykli wszyscy uważać to stowarzyszenie (Wahlverein) za pozostające pod wpływem i kierunkiem Róży Luksemburg w sprawach polskich. Towarzysze polscy, należący do P. P. S., mają w Poznaniu swoje własne „Towarzystwo socyalistów Polskich“, do „Wahlverein“ zatem nie należą. Ponieważ przebieg tego zebrania posiada znaczenie ogólne, dlatego podajemy ważniejsze części dyskusyi według stenograficznych notatek.

Delegat na zjazd Gogowsky przemawia za rezolucyą Róży Luksemburg: „W liście otwartym P. P. S. rzecz została tak przedstawiona, jak gdyby tylko sam zarząd niemiecki ponosił odpowiedzialność za zerwane układy. Tymczasem podług mego zdania P. P. S. nie chodzi bynajmniej o przeprowadzenie zgody, oni chcą w pewnych tylko chwilach, jak np. przy wyborach, działać łącznie. a po za tem pracować oddzielnie. Musimy się więc teraz trzymać uchwały partyjnej, że z P. P. S. nie łączą nas inne stosunki, jak międzynarodowa solidarność. Widzimy i widzieliśmy przed wyborami, że mimo agitacyi związkowej i politycznej, masy robotnicze w Poznaniu nie zostały zdobyte dla socyalnej demokracyi. Robotnicy, którzy bili nam brawo i przyjmowali z zapałem nasze mowy na zebraniach związkowych, pozostali jednak przy kandydatach polskich. Z tego punktu widzenia musimy rozwinąć naszą robotę agitacyjną, która prowadzona być musi tak samo, jak w innych niemieckich stronach. Dlatego musimy stanąć na jednolitej podstawie organizacyjnej. To też uczynił kongres, uznając stanowisko Zarządu, który zerwał stosunki z P. P. S. Pod koniec Gogowsky wnosi następującą rezolucyę: „W sprawie polskiej powziął drezdeński kongres słuszną uchwałę, zgadzając się na wniosek Róży Luksemburg. Towarzysze zorganizowani w Towarzystwo wyborcze przynależą do ogólnej organizacyi Niemiec“. W dyskusyi, która potem nastąpiła, podnosimy najciekawsze punkty.

Tow. Koczorowski: Na kongresie Róża Luksemburg przedstawiła się jako obrończyni polskiego ludu; dla mnie było to śmiesznem, gdyż wiem, że na wszystkich kongresach prowadziła polemikę pełną nienawiści przeciw P. P. S. Trzeba nareszcie tamę położyć tej działalności Róży Luksemburg, która pomimo to, że mówi sama. jakoby była Polką, występuje w histeryczny sposób, z całą sobie właściwą energią i nikczemnością przeciwko własnemu ludowi. Nie rozumiem, jak kongres mógł uwierzyć szelmostwom Róży Luksemburg. Fiasko ruchu poznańskiego ma swe źródło w wiecznych matactwach Róży Luksemburg. Nie rozumiemy, jak kongres mógł tak prędko przejść do porządku dziennego nad tak ważną sprawą. Gogowsky opowiada o związkowcach, którzy przy wyborach głosowali za kandydatami Koła polskiego. Zdaniem mojem sprawy tak stoją, że robotnicy powiedzieli sobie: jesteśmy socyalistami, ale nie mo-

żemy przez głosowanie na Gogowskiego popierać matactwa Róży Luksemburg. Ludzie nie chcieli głosować za kandydatem, którego postępowanie podług ich zdania szkodzi ich narodowości. Tow. Wice-sekretarz towarzystwa: Dużo ludzi twierdzi, że P. P. S. pracuje przeciw nam. Jabym życzył sobie, aby towarzysze byli na wczorajszem zebraniu ludowem. Tow. Haase, jako referent, nie powiedział ani słowa przeciwko niemieckiej socyalnej demokracyi. Serce się radowało, słuchając, jakim zapałem potrafił przejąć uczestników wiecu dla sprawy socyalistycznej.

Moglibyśmy w Poznaniu robić zupełnie inne, daleko większe postępy, gdybyśmy pracowali ręka w rękę z P. P. S. Dlatego proszę was, abyście odrzucili rezolucyę Gogowskyego. Tymczasem nadeszła następująca rezolucya: „Zebranie ubolewa nad sposobem, w jaki kongres dreździeński przeszedł nad sprawą polską do porządku dziennego. Zebrani są zdania, że sprawa polska (organizacyi) nie została bynajmniej załatwiona przez rezolucyę R. Luks. i będzie dopóty się odnawiała, dopóki agitacyjne i organizacyjne żądania ludu polskiego nie zostaną zaspokojone. Rezolucya ta była bez podpisu, lecz na zapytanie przewodniczącego znalazła dostateczne poparcie dla dyskusyi.

Tow. Lehmann: Nie zgadzam się zupełnie z rezolucyą, lecz z powodu zachowania się P. P. S. podczas wyborów gotów jestem za nią głosować, przyznając, że tow. Rumiński należący do P. P. S. agitował usilnie w Poznańskiem za kandydatem socyalno-demokratycznym.

Tow. Śremski (przewod. towarz. wyborczego): Sprawa polska na kongresie drezdeńskim miałaby zupełnie inne zakończenie, gdyby ją traktowano obszerniej. Sposób, w jaki ją przeprowadzono, nie dał wcale towarzyszom niemieckim dokładnego o niej wyobrażenia. Konferencya ugodowa z 19 października 1902 r. skończyła się powzięciem pewnych uchwał, do których moglibyśmy się wszyscy stosować. Gdyby kongres drezdeński przyjął te same uchwały, wiedzielibyśmy, czego się trzymać.

Wniosek Róży Luksemburg przyczynił się do tego, by wywołać nowe spory. My zaś chcemy, aby te spory znikły raz na zawsze. Z chwilą gdy ruch socyalno-demokratyczny obejmuje szersze koła polskie w Poznaniu, stanie się rzeczą konieczną udzielenie organizacyi większej samodzielności. Dopóki będziemy wiecznie pod kuratelą, nie może być znacznych rezultatów. Rok pracowała w tym kierunku, aby uniemożliwić wszelkie porozumienie między polskimi a niemieckimi towarzyszami. Ona to wpłynęła na zarząd partyi niemieckiej, aby ten spór nigdy się nie skończył. Spory między polską a niemiecką organizacyą rozpoczęły się w tej chwili, gdy Róża Luksemburg przybyła do Niemiec; przed jej przyjazdem sporów nie było. A przez te spory właśnie ponieśliśmy tak wielką klęskę w Poznaniu. Dlatego jestem zdania, że rezolucyę Gogowskiego powinniśmy odrzucić, nie odpowiada ona naszym uczuciom, i nie jest wcale na miejscu.

Gogowski: nie wiem, czy ci towarzysze, co kwestyę tę znowu poruszają, zrobili przez to przyjemność P. P. S. Tymczasem musimy się stosować do uchwał kongresu drezdeńskiego.

Tow. Koczorowski: (To wcale niemożliwe!).

Gogowski: Tyle już razy następowało pojednanie, a nic z tego nie było.

(Wołanie z kilku stron: a czyja to wina?)

Gogowski: Na zjazd drezdeński nadesłano protest, podpisany przez dwóch niemieckich i dwóch polskich towarzyszy.

(Liczne głosy: ale z polecenia wielu iunych!)

Gogowski: Również o „Gazecie ludowej“ nadesłano fałszywe sprawozdanie, w którem twierdzono, że „Gazeta Ludowa“ ma tylko 37 abonentów. Tymczasem w pierwszem półroczu mieliśmy dochodu z „Gazety Ludowej“ 218 m. 50 f., co odpowiada ilości 121 abonentów. W drugiem półroczu dochód wynosił 293 m. 80 f., co odpowiada ilości 163 abonentów.

Tow. Wegner: Rezolucya kongresu mnie też się nie podoba, ale robotnicy w Poznaniu muszą jednak walczyć w jednym szeregu.

Tow. Haase z Katowic: Pomimo wszelkich nieporozumień można zauważyć pewien postęp. Dawniej śmiano nawet twierdzić, że P. P. S nie jest partyą socyalistyczną. Dzisiaj czyta się to tylko w „Gazecie Ludowej“, która swym pogardliwym tonem odpycha tłumy robotnicze od siebie, zamiast je przyciągać. Ten ton właśnie i sposób prowadzenia agitacyi w Poznańskiem nieodłącznie od wpływów Róży Luksemburg, są, jak dla mnie, zupełnie wystarczającem wyjaśnieniem tego, co tu dziś towarzysze nazywają ogólnie klęską partyi socyalno-demokratycznej w Poznaniu.

Mówca w dłuższym wywodzie wyjaśnia taktykę P. P. S. i przebieg zeszłorocznych układów. Jest on zdania, że niedojście do skutku porozumienia jest winą zarządu partyi niemieckiej. P. P. S. przyjęła wówczas uchwały zaproponowane przez zarząd P. N., powzięte na wspólnej konferencyi ugodowej. Tymczasem tenże sam zarząd niemiecki warunki swe zmienił i tem samem złamał swe słowo. Tow. Haase z naciskiem wskazuje na Górny Śląsk, gdzie mimo istnienia dwóch organizacyj socyalistycznych, walka wyborcza ściśle przeprowadzona była w porozumieniu i z żelazną energią. Tow. Haase wzywa towarzyszów, by rezolucyę Gogowskiego odrzucili, aby tem samem utorować drogę dla połączenia się wszystkich polskich socyalistów w Niemczech w jedną organizacyę, któraby mogła w braterskiem porozumieniu pracować wspólnie z towarzyszami niemieckimi. Wyjaśnia, że programem P. P. S. w Niemczech jest program erfurcki, zadaniem przeto partyi: walka o ekonomiczne, polityczne i kulturalne interesy polskich klas pracujących, celem wyzwolenia ich z jarzma wszelkiego ucisku i wyzysku, czyli urzeczywistnienie socyalizmu. Każda partya socyalistyczna ma obowiązek znać jaknajdokładniej stosunki swego kraju i ludu i w granicach zasad partyjnych musi zastosować swą taktykę do warunków życia tegoż ludu.

W dalszym ciągu mówca zaczął wyjaśniać te właśnie warunki życia polskiego ludu w Niemczech, lecz przewodniczący kilkakrotnie przerywał mu, żądając, by nie mówił o programie P. P. S., lecz o uchwałach kongresu drezdeńskiego. Dlatego tow. Haase wyjaśnienia swego nie mógł rozwinąć.

Tow. Schultz: Mowa tow. Haasego przekonała mię najlepiej, że odrębna organizacya nie jest potrzebna. Proszę towarzyszy o odrzucenie wszystkich rezolucyj, my musimy się porozumieć. Co [do „Gazety Ludowej“, to ja należę do tych, którzy list do tow. Ledeboura podpisali. Jako członkowie komisyi rewizyjnej stwierdziliśmy w książkach rachunkowych, że „Gazeta Ludowa“ ma tylko 37 abonentów. Przy rewizyi redaktor tej gazety był obecny i sam z nami rezultat ten stwierdził. Nie rozumiem, skąd naraz dowiadujemy się dzisiaj od Gogowskiego o większej ilości abonentów.

Teraz przewodniczący odczytał następującą rezolucyę Koczorowskiego i towarzyszy:

„Zebranie stoi na stanowisku protokołów ugodowych konferencyi dnia 19 października, a nie na zasadzie wniosku Róży Luksemburg na kongresie drezdeńskim.“

Nastąpiło głosowanie: rezolucyę Gogowskiego odrzucono. Dwie inne rezolucye odrzucono również.

Wynik tego głosowania oznacza formalne bankructwo Róży Luksemburg w Poznaniu, w tem samem towarzystwie wyborczem, które ambitnej tej pani dotychczas służyło za firmę do wszelkich jej intryg.

Czytelnicy nasi wiedzą już z artykułu wstępnego o szalbierstwie Róży Luksemburg, która potrafiła wmówić zarządowi partyi niemieckiej, jakoby „Gazeta Ludowa“ miała nie 37 abonentów lecz parę setek (!!). Naturalnie, ta bezczelność musiała oburzyć towarzyszy członkow komisyi rewizyjnej, którzy przeprowadzili rewizyę. Zamieszczają więc w „Vorwärts'ie“ następujący policzek dla p. Luksemburg:

„Odnośnie do oświadczenia, ogłoszonego przez zarząd partyjny i panią dr Luksemburg w „Vorwärts“, w którem ona nasze twierdzenie, że „Gazeta Ludowa“ posiada tylko 37 płacących abonentów, nazywa nieprawdziwem, a więc kłamstwem, oświadczamy, co następuje:

Przy przedsięwziętej przez nas dnia 25 lipca dokładnej rewizyi „Gazety Ludowej“ stwierdziliśmy, że posiada ona 37 płacących abonentów. Żądamy partyjnego sądu polubownego.

Poznań, 28 października 1903.

Członkowie komisyi rewizyjnej:
A. Spieler, L. Werner, B. Budziński, S. Pacyna,
B. Bogorowski.

Stale rozrastająca się działalność polskiej partyi socyalistycznej wśród proletaryatu żydowskiego w Królestwie Polskiem i na Litwie wywołała konieczność porozumienia się przedstawicieli wszystkich lokalnych organizacyj żydowskich partyi. W tym celu zwołana została tajna konferencya, w której wzięli udział delegaci robotników żydowskich z Warszawy, Białegostoku, Grodna, Wilna i t. d. Konferencya trwała dwa dni i uchwaliła następujące rezolucye, zamieszczone w świeżo wydanym n-rze 8-ym „Arbeitera“:

I. Agitacya. „Za najbardziej ważne zadanie komitetów miejscowych konferencya uważa pracę organizacyjną; co do urządzania zgromadzeń masowych, to można je urządzać przy każdej sposobności. jaką nasuwa życie ekonomiczne, albo polityczne, ale tylko tam, gdzie znajduje się już mniej więcej silna organizacya“.

Rezolucya ta jest odpowiedzią na zapatrywania wielu towarzyszy, którzy domagają się jak najczęstszego zwoływania zgromadzeń masowych i uważają te ostatnie za najlepszy środek oddziaływania na masy robotnicze. Konferencya z tem się nie godzi, uważając pracę w celu wytworzenia trwałej organizacyi za daleko pożyteczniejszą od urządzania zgromadzeń masowych. Konferencya uważa, że zgromadzenia masowe mogą tylko wtenczas przynieść pewną korzyść, jeśli istnieje organizacya, która potrafi wyzyskać nastrój, wywołany przez zgromadzenia masowe.

W sprawie demonstracyj konferencya uchwaliła: „Konferencya jest przeciwna urządzaniu takich demonstracyj, co do których organizacya miejscowa może przewidzieć: 1) że osób, biorących udział w demonstracyi, będzie zbyt mało; 2) że demonstracya może wywrzeć szkodliwy wpływ na jej działalność organizacyjną; 3) że wywrze złe wrażenie na masy robotnicze“.

Rezolucya ta zapobiega nieopatrznemu wywoływaniu demonstracyj masowych, które, jak już praktyka pokazała, są częstokroć bardziej szkodliwe niż pożyteczne i kończą się z jednej strony aresztowaniem prawie wszystkich członków organizacyi, a z drugiej przygnębieniem mas.

Za jeden z najlepszych środków uświadamiania członków organizacyi konferencya uznała częste prowadzenie dyskusyj w łonie samej organizacyi, wobec czego przyjęła następującą rezolucyę: „Miejscowe komitety obowiązane są urządzać dyskusye programowe, taktyczne i teoretyczne. Wypracowaniem specyalnego planu dyskusyjnego winien zająć się komitet żydowski P. P. S.“

Następnie konferencya obradowała nad sprawą wydawania odezw i pism ulotnych do inteligencyi żydowskiej na Litwie w języku rosyjskim i uchwaliła następującą rezolucyę: „Konferencya uważa za potrzebne wydawanie na Litwie w odpowiednich wypadkach odezw i pism ulotnych w języku rosyjskim, pozostawiając to w każdym wypadku uznaniu komitetu żydowskiego P. P. S.“

W sprawie strejków konferencya wypowiedziala się zapomocą następującej rezolucyi: „Stojąc na gruncie zasad, przyjętych przez P. P. S., konferencya uważa, że nasze organizacye powinny stać na czele walki ekonomicznej, którą muszą prowadzić na gruncie socyalno-demokratycznym. Ale powinny one być nader ostrożne przy wywoływaniu strejku, starając się jaknajusilniej, aby strejk skończył się wygraną.“

W ostatnich czasach dają się słyszeć głosy, że strejki powinny być tylko środkiem przyciągnięcia mas robotniczych do partyi i że z ekonomicznego punktu widzenia strejk nie ma dla nas żadnej wartości; wskutek tego są tacy, którzy gotowi są wywołać, albo wywołują strejki, co do których z góry można było przewidzieć, że będą przegrane. Konferencya widzi w strejku nie tylko środek propagandy socyalistycznej, ale i środek polepszenia bytu robotników i dlatego uważa za szkodliwe łekkomyślne wywoływanie strejku, gdyż strejk przegrany zamiast jednać nam członków, nieraz odtrąca od nas robotników.

II. Organizacya. Do tego punktu porządku dziennego konferencya uchwaliła następujące rezolucye:

1. Wzajemne stosunki pomiędzy oddzielnemi naszemi organizacyami żydowskiemi są bardzo potrzebne. Dla ustalenia takich stosunków, konferencya uważa za potrzebne wprowadzić bezpośrednie komunikowanie się wzajemne organizacyj zapomocą korespondencyi i wymiany ludzi.

2. Konferencya uważa, że nasze organizacye miejscowe obowiązane są zawiązywać stosunki w każdym fachu. Oprócz tego komitety w większych miastach powinny wywierać wpływ na okoliczne miasta i miasteczka.

3. Konferencya wzywa miejscowe komitety do energiczniejszego zbierania pieniędzy.

4. Konferencya wyraża nadzieję, że komitet żydowski dostarczy środków materyalnych i sił inteligentnych, potrzebnych do zdobycia nowych pozycyj.

5. Konferencya uważa za konieczną jaknajściślejszą łączność pomiędzy żydowskimi i chrześcijańskimi komitetami miejscowymi naszej partyi dla osiągnięcia całkowitej jednolitości naszej pracy.

III. Sprawy czysto konspiracyjne.

IV. Prasa i wydawnictwa. W obradach nad tym punktem wypowiedziano różne żądania i omawiano projekty, dotyczące wydawnictw broszurowych, oraz obydwóch organów żydowskich P. P. S., agitacyjnego „Arbeitera“ i popularno-naukowego „Proletarische Welt“.

BIBLIOGRAFIA.

Protokół zjazdu socyalno demokratycznej partyi Niemiec. Berlin. 1903 r.

Ze zwykłą sobie sprężystością partya niemiecka wydała już protokół zjazdu drezdeńskiego. Jest to gruby tom 448 stronic, zawierający, oprócz stenograficznego sprawozdania z samych obrad, sprawozdanie zarządu, frakcyi parlamentarnej i wiele innych użytecznych informacyj. Treść obrad podaliśmy na innem miejscu, ale warto tu zwrócić uwagę na szczegóły, drobne na pozór, ale bardzo charakterystyczne. Wiadomo, że zarówno sekretaryat robotniczy w Bytomiu (Dr. Winter), jak w Poznaniu (Gogowsky) dziwy zawsze rozpisywały o ilości robotników, które udało im się zorganizować zawodowo. Otóż wszelka organizacya zawodowa nie jest celem sama przez się, ale powinna przygotowywać grunt dla propagandy socyalistycznej. Ciekawe jest tedy zestawienie rzekomych rezultatów na polu zawodowem z działalnością polityczną w tych dwóch miejscach. Każdy okręg wyborczy posyła do kasy partyjnej składki, z których powstają olbrzymie dochody partyi niemieckiej. Zajrzeliśmy do wykazu tych składek według okręgów, porównanego ze sprawozdaniem, poszukaliśmy tam „Poznań“ i... wcale go nie znaleźliśmy! Mamy zatem takie zestawienia: **4.000** „robotników zorganizowanych“, **1.700** głosów socyalistycznych, **37** abonentów jednego pisemka, „prawdziwie socyalistycznego“ na całym obszarze ziem polskich, **0** składek! Z Bytomia w ciągu roku sprawozdawczego (lato 1902 do lata 1903) wpłynęło wszystkiego 75 marek, a z Gliwic, gdzie też prowadzona była „masowa agitacya“ i t. p. — aż **trzy marki.** Jakże tu daleko do 2.650 marek, wydanych przez partyę niemiecką na subwencyonowanie organu tej potężnej organizacyi! *W.*

WYDAWNICTWA POLSKIEJ PARTYI SOCYALISTYCZNEJ *).

Robotnik N-r 52. 26 października 1903 r. (w drukarni krajowej).

Treść: Do czego służy wojsko. Zza kraty. Gospodarka rabunkowa. List towarzyszy holenderskich. Korespondencye: *Częstochowa:* z fabr. Motte i S-ka; z giserni Resser, Bohm i Pankowski. *Dąbrowa Górnicza. Kalisz:* z fabr. Markus Holc i S-ka. *Kielce:* z zakładu stolarskiego Łączyńskiego. *Suchedniów:* z akc. tow. odlewów; szkoła leśna. *Lublin:* pobożni oszuści; z młynów Krauzego; z fabryki Wolskiego. *Radom:* szkoła rzemieślnicza; przyjaciel fijołów; z garbarni. *Z Radomskiego. Siedlce:* łapownicy. *Warszawa:* z fabr.

*) Od czasu wyjścia poprzedniego N-ru „Przedświtu.“

Gostyńskiego; z fabryki br. Gajssler; z fabr. Majerhofa i Kobyłeckiego. *Włocławek:* z fabr. celulozy. Policyjna opieka nad robotnikami. Tajne cyrkularze rządowe. Kronika krajowa: manifestacye przy wywożeniu więźniów, ohyda, pobożny wyzysk, polskie składki na rządowe cele, walka robotnicza w Ostrowcu, „honorowy obywatel“, rusyfikacya w przedsiębiorstwach rządowych, z ruchu strejkowego, rządowy antysemityzm. Piękny czyn. Pokwitowania. Z ruchu strejkowego. Ostrzeżenie.

Z warszawskich fabryk i warsztatów (dodatek do Nru 52 „Robotnika“ (w drukarni krajowej).

Treść: Z fachu blacharskiego; z fachu szewckiego; z fachu zduńskiego; z życia stróżów; z fachu stolarskiego; z fabryki mebli Szczerbiński i Trenerowski; z fabr. Labor; z fabryki szczoteczek dentysty Zielińskiego; z fabr. Spiessa i Syna; z fabr. przetworów chemicznych Kijewski i Szolce; z głównych warsztatów Praga-Nadwiślańska; z fabr. Neufelda; z huty szklanej Sawickiego (na Pelcowiźnie).

Walka Nr. 3. Listopad, 1903.

Treść: Wilno, październik 1903. Nasze stanowisko na Litwie. Kwestya żydowska na Litwie. Kronika krajowa; z za kraty, tchórzostwo i lękliwość, policya, samorząd ziemski, zdrowie to nasze bogactwo, walka księży, od głodu ognia i wojny, za mało policyi!, szkoły cierkiewne, zgnilizna, rusyfikacya na kolei, pomniki. Śmietnik wileński, rozruchy antyżydowskie, nasze odezwy. Korespondencye: *Wilno:* z garbarń; z fabryk kaflowych; z parkieciarni Tyszkiewicza; z fabryki mebli giętych Zyskinda i Wolberga; z fachu tapicerskiego; z fachu piekarskiego; z fachu bednarskiego. *Grodno:* z drukarni gubernialnej; z tartaku Landaua. *Kowno:* z fabryki Rekosza; z fabr. Tylmausa; z fabr. Szmydta; z fachu szwaczek; z fachu szewckiego. Sybir. Ostrzeżenia.

Światło Nr. 17. Londyn.

Treść: Zygmunt Sierakowski, przez Mieczysława Michalskiego. Sądownictwo a socyalizm przez Michała Luśnię. Ruch Czartystów przez B. A. J.

* * *

Odezwa Warszawskiego K. R. P. P. S. do garbarzy z powodu strejku chłopców w garbarni Peterka. Warszawa, 30 września 1903 roku (hektografowana).

LUŹNE NOTATKI.

W N. 4—5 „Dobrej Nowiny“, byłego organu Ukraińskiej Partyi Socyalistycznej (za wrzesień i październik 1903), umieszczone zostało następujące oficyalne oznajmienie:

„Komitety Centralne Rewolucyjnej Ukraińskiej Partyi i Ukraińskiej Partyi Socyalistycznej, przekonawszy się, że zasady teoretyczne i praktyczne powyższych partyj zgadzają się w najważniejszych punktach, postanowiły złączyć obie partye, z tem, że:

1) Szczegóły programowe, do uchwalenia wspólnego programu na drugim zjeździe partyjnym, będą omawiane w organie partyjnym „Hasło“, który w tym celu otwiera swe łamy wszystkim członkom partyi.

2) Zarząd partyi zostaje rozszerzony, ale organizacya zostaje w tym stanie, w jakim była w R. U. P., również nazwa partyi zostaje ta sama.

3) Odtąd organem teoretycznym partyi złączonej staje się „Hasło“, pismem dla włościan pozostaje nadal „Selanyn“, a dawny organ U. P. S., „Dobra Nowina“, począwszy od N-ru 4 zostanie przeznaczony głównie dla robotników przemysłowych.

Komitety centralne spodziewają się, że złączenie wszystkich sił socyalistycznych Ukrainy wywrze wpływ pożądany na rozwój ruchu socyalistycznego na Ukrainie i zapewni proletaryatowi Ukraińskiemu powodzenie w walce o wyzwolenie klasy robotniczej“.

Czerwiec 1903 r.

C. K. R. U. P. i C. K. U. P. S.

ADRES:

Komitetu Zagranicznego P. P. S., – Księgarni i Drukarni P. P. S., Archiwum P. P. S., Redakcyi i Administracyi „Światła“, „Kuryerka zakordonowego i Zagranicznego“ oraz „Proletarysze Welt“, Ekspedycyi zagranicznej: „Robotnika“, „Górnika“, „Łodzianina“, „Wici“, „Białostoczanina“. „Arbajtera“, „Walki“ i „Gazety Ludowej“

Józef Kaniowski, 67. Colworth Road, Leytonstone, London N. E.

POKWITOWANIA KOMITETU ZAGRANICZNEGO P. P. S.

za czas od 7 października 1903 umieścimy w następnym numerze.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Tow. Widm. Artykuł o programie agrarnym „Iskry“ będzie zamieszczony w następnym numerze.

Tow. Pr. Ależ oczywiste łgarstwo! Ani w numerze 12, ani w żadnym innym nie drukowaliśmy nigdy korespondencyi z Rostowa nad Donem.

Ob. Kal. w G. Niestety, nie możemy skorzystać. Wogóle unikamy polemiki z pismami rewolwerowemi.

TREŚĆ: Nasze sprawy na zjeździe drezdeńskim. Ze wspomnień wygnańca. Porachunek z rewizyonistami. V. Zjazd Bundu. Sprawozdania. Z kraju i o kraju. Bibliografia. Luźne notatki.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Tadeusz Bobrowski.